

„WIANUSZEK"

Almanach frywolny

WIANUSZEK

ALMANACH FRYWOLNY

REDAKCJA I TEKSTY WIERSZOWANE
HENRYKA ZBIERZCHOWSKIEGO

OKŁADKA:
M. BEREZOWSKIEJ

RYSUNKI W TEKSCIE:
M. BEREZOWSKIEJ, K. GRUSA I A. ŻMUDY.

LWÓW 1921.
ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI W. A. SZYJKOWSKIEGO, LWÓW, ZIMOROWICZA 14.
KLISZE Z ZAKŁADU „UNIA".



Wianuszek.

Sześć lat już Ares dzierżył nas w swej mocy,
Prochem strzelniczym paskudząc powietrze,
A zgroza wojny, której nic nie zetrze
Była pokarmem naszych dni i nocy.

Lecz dziś, gdy wreszcie umilkły armaty
I chwast porasta brzegi rowów polnych,
Czas nam powrócić do rzeczy swawolnych,
Między kobiety, perfumy i kwiaty.

Wenus jest siostrą w wojskowym szpitalu,
Bakchus wygnany w pustkę górskich turni,
Myśmy się stali tacy gruboskórni,
Że dusza Vilde'a ręce łamie z żalu.

Trzeba wydobyć odnowa z ukrycia
To, co jest w sztuki i poezji wątku,
Trzeba rozpocząć pracę od początku,
Byśmy zrozumieć mogli „goyę" życia.

Zanim wytrysną owe źródła znowu
Na horyzoncie naszej sztuki szerszym,
Niechaj „Wianuszek" będzie krokiem pierwszym
I pierwszą płotką przyszłego połowu.

Dość już materji tych szorstkich i grubych,
Dość tej pruderji z wojennego transu,
Wróćmy do pięknych linii renesansu,
W których jest przedsmak tylu rzeczy lubych.

A choć purysta jakiś się rozzłości,
Przez łeb go pięknie trzepniemy obuszkiem,
Bowiem się często kryje pod wianuszkiem
Przyszły krzyk życia, szczęścia i miłości.

Henryk Zbierzchowski.



Dwanaście miesięcy kobiety.



Miłe są dla kobiet stycznie.
Można się rozebrać ślicznie
I pokazać biuścik biały,
Ukrywany przez rok cały..

„UNJA"



Co przynosi miesiąc Luty?
Haszysz tańca i reduty.
Pierrot usta ma jak wino —
Biedna, biedna Kolombino!





Marzec to jest miesiąc kotów,
Przekomarzań i zalotów.
Objawiają się pomału
Konsekwencje karnawału.

„UNJA"





Kwiecień — w śnieżyczek strojna
[urodę
Pęka już ziemia, bazie i wino
I twoje piersi pękają młode
Cudna dziewczyno!



Maj — wjechałaś w lasu cienie.
Faun się zdumiał nieskończenie,
Bo zobaczył bez obsłonki
Nóżkę twą z pod amazonki.

„UNJA"



Czerwiec — kwitną już ogórki.
Na ulicach ciągłe zbiórki.
Biednym niosąc ukojenie
Ty poświęcasz swe siedzenie.

„UNJA"



Lipiec — niema kabaretu —
Z nudów stajesz do portretu.
Szkoda, że na takie czary
Malarz trochę już za stary.

„UNJA"



Sierpień — jedźmy do Ostendy
Gdzie popatrzysz — morze wszędy
A z fal wykwitają cuda:
Białe ręce, piersi, uda.

„UNJA"



Przed posągiem Apollina
W wrześniu skarży się dziewczyna:
Wszystko stroi się w owoce...
Jak samotne moje noce!



Strojny w zwiędły liść październik
Co najlepszy snów powiernik,
Komuś kwiat dam swych uniesień
Zanim jeszcze minie jesień.

„UNJA"



Ma listopad swe nawyczki:
Wietrzyk dmucha pod spódniczki
Więc by nie wyjść z dobrej normy
Trzeba stroić się w reformy.

UNJA



Grudzień ma swój powab nowy;
Sport łyżwiarsko-saneczkowy.
Miłość tchnie z każdego kąta
Amor się wśród nóżek pląta



REWOLUCJA SWAWOLI.

Po wielu mniej lub więcej prawdopodobnych przygodach, po włóczędze równie bezmyślnej, jak i rozkosznej — zawinęliśmy wreszcie do ostatniej tej nocy przystani.

Zwała się: „club artistique de Montmartre" i była ostatniem schroniskiem dla ludzi nietyle bezdomnych, ile unikających domu, skłonnych do wszelkiej ekstrawagancji i gwałcących przynajmniej raz w życiu zasady tak zwanej: zdrowej moralności.

Towarzystwo było bardzo niejednolite, a jednak złączone jakiemś tajemniczem ogniwem.

Ludzie przerażająco bogaci siedzieli obok lekkomyślnych urwipołciów, wyrzucających z gestem pogardy całą zawartość swoich kieszeni. Cnotliwe kobiety piły szampana z kokotami. Artyści i myśliciele gawędzili w najlepsze z poczciwymi mieszczuchami. Właścicielki podejrzanych instytucji wtajemniczały w swoje kłopoty żony farmerów amerykańskich. Makroci tańczyli jarbana z córkami najstarszych rodów. Oficerowie angielscy klepali się po ramieniu z hindusami. Wielcy przemysłowcy całowali rozczochranych bolszewików. Bezwstydna nagość lśniła pomiędzy sukniami zapiętymi pod szyję. Nieskazitelne gorsy białych koszul tonęły w powodzi lichych surdutów. Wszystkie języki świata splątały się w jedno dziwaczne narzecze, za pomocą którego porozumiewano się doskonale. Odurzający zapach perfum nasycał zbyt hojnie powietrze, brzemienne już wonią potraw, wina i tchnieniem ust lubieżnych. Olbrzymie lustra ja-

rzyły się, lśniły i odbijały w nieskończoność opalowe światła lamp elektrycznych. Złocisty pył drżał pomiędzy stołami a miejscem, gdzie w takt muzyki wahało się sto par smukłych nóg, spowitych błyskiem jedwabnych pończoch.

Wesołość szumiała jak młode wino, przelewające się poza brzegi puchara.

Aż wreszcie przez perłowe zasłony począł się sączyć blady, zdradliwy świt. Powoli gasił przepych jaskrawych świateł i odzierał chytrze ciemny płaszcz nocy z błyszczących klejnotów. Pomiędzy stołami poczęło się błąkać nieproszone, melancholijne zamyślenie. Ucichła muzyka — z mrocznych kątów wypełzała szarość i poczęła znaczyć ślad swojej bezkrwistej dłoni na twarzach ludzkich. Histeryczny śmiech jakiejś kobiety przeszył powietrze niby pchnięcie zimnego sztyletu. Znużenie rozpierało się coraz bezczelniej przy stołach suto zastawionych i wtrącało swoje trzy grosze do rozmów wiedzionych półgłosem.

Zdawało się, że wszyscy oczekują na jakieś niespodziewane wydarzenie.

Jakoż od jednego ze stolików podniósł się człowiek o twarzy ostrej, drapieżnej i wyciągnął przed siebie rękę na znak, że chce mówić.

W ciemnych jego oczach zamigotały żywe skry, cienkie wargi zwinęły się wężowym kaprysem.

— Panowie i panie — zaczął — nie pozwoliłbym sobie nigdy wdzierać się pomiędzy rozkoszne chwile waszej wesołości, gdybym nie dostrzegł, że ten swawolny ptak uleciał na chwilę. Na najpiękniejsze nogi najrozpustniejszej Paryżanki przysięgam wam, że nie jestem członkiem żadnej Armji Zbawienia i bynajmniej nie jest moim celem zwabić was podstępnie w ciemne czeluście jakowegoś rachunku sumienia. Dla uniknięcia wszelakich nieporozumień oświadczam, że jestem takim samym łajdakiem, jak wy wszyscy.

Gromkie okrzyki uznania w szesnastu językach i narzeczach świata były odpowiedzią na te słowa, pełne zachwycającej szczerości.

— Nie mniej jednak — mówił głosem coraz bardziej donosłym, coraz bardziej przenikliwym — żądać będę od was spełnienia pewnego posłannictwa, walki w imię wielkiej ideji,

WARSZAWIANKA Rys. M. Berezowskiej.



Nie nóżki ani kolanka
Zdradzają, żeś Warszawianka
Uroczy skarbie mój,
Lecz owa dziwna nawyczka
Wrodzona — że od buciczka
Zaczynasz ranny strój.

która tkwi w nas, chociaż może sami o tem nie wiecie. Rozpustnicy wszystkich krajów! niektórzy z was zabłądzili tutaj tylko przypadkiem. Niektórzy z was wrócą niebawem do czytania biblji, robienia pończoch i sprawowania różnych dostojeństw, które są nieodłączną własnością życia normalnego we wszelkim klimacie i położeniu geograficznem. Siedząc wieczorem przy kominku czcigodne matki opowiadać będziecie szeptem podrastającym córkom o zgrozie paryzkich nocy, o straszliwej rozpuście Montmartru, o domach publicznych z indyczkami, nagich kokotach, które odsłoniły wam ohydę życia przy kawiarnianym stoliku, o tańcach, które już nie są tańcami, i t. d., i t. d. Na wspomnienie tego wszystkiego będziecie żegnali się pobożnie, jakby wśród złowieszczego zapachu siarki piekielnej objawił się wam we własnej osobie kochanek rozwydrzonych czarownic: kmotr Belzebub. Ale w tej chwili mimo wszystko, co ma nastąpić, jesteście razem z nami rewolucjonistami, którzy raz w życiu przynajmniej z kieliszkiem szampana w ręku wypowiadają wojnę wszelkiemu normalnemu porządkowi rzeczy i depczą uświęcone zasady drobnomieszczańskiej moralności wszystkich ras. Skoro tak jest, mam prawo żądać, abyście posłannictwo wasze, choćby tylko przypadkowe, spełnili do końca.

Urwał i obracał powoli głowę, jakby chciał zasugestjonować wszystkich dokoła palącem spojrzeniem czarnych oczu.

— Rewulucjoniści! — krzyknął wreszcie tak głośno, że aż szyby zadźwięczały — żądam od was rewolucji!

Ze wszystkich stron biegły ku niemu splątane, rozwichrzone okrzyki.

— Chwytajcie czemprędzej za broń!

— Dalej naprzód do walki!

— Chłopcze! gotowa jestem zginąć za twoją sprawę wbita na najtęższy pal!

— Wywieście sztandar purpurowy!

— Krwi i wina!

— W mojem łóżku jest miejsce na każdą, najkrwawszą rewolucję!

— Łechtajcie na śmierć zdrajców świętej sprawy!

— Łajdacy wszystkich krajów łączcie się!

— Dajcie hasło!

— Zaczynamy! Prędzej!

Głos jego z trudem torował sobie drogę przez gęstwinę wrzasku, aż zwyciężył!

— Kobiety utrzymywane przez mężczyzn i mężczyźni utrzymywani przez kobiety! nie powiedziałem wam jeszcze wszystkiego. Nie wiecie czego naprawdę żądam. Słuchajcie!

— Słuchajmy!

— Pochodzę z kraju smutnej północy. Kiedy tu w luksemburskim ogrodzie kwitną jeszcze żółte róże, czerwone szałwije i złociste malwy, u nas zły mróz chodzi po nagich polach, wiatr lodowaty strząsa ostatnie liście z czarnych gałęzi, a w sercach ludzkich zamiera ostatni błysk słońca. Pochodzę z kraju, gdzie huczy ciągle dzwon pogrzebowy, gdzie ludzie z fałszywym jękiem na ustach modlą się o to, czego posiadać nie mogą i nie chcą. Towarzysze nocy dzisiejszej! Pochodzę z kraju, gdzie od wielu lat spełnia się straszliwa zbrodnia bezmyślnego smutku! W głuchą otchłań beznadziejnej szarości zapadają, jak piasek, wielkie słowa sztucznego patosu. Lichy pozór obowiązku jest wiecznym bohaterem tragikomedji obrzydliwej chytrości sklepikarzy. Przemożna nuda sypie miałki popiół w oczy, które niegdyś widziały gwiazdy. Młodość jest bezzębna, dojrzałość ma wyprute jądra i skrzeczy głosem eunucha, wyswobodzona królewna z bajki przeobraża się w niemowlę, które paskudzi na bohaterskie ręce swego rycerza. Łajdactwo ukrywa się w stoliczku nocnym czcigodnego obywatela. Żałosny skowyt jest najszczytniejszą symfonią narodową. Niezręczna intryga, podnosząc dęte ciężary, udaje siłaczkę. A ponad wszystkiem unosi się niezdrowy czad powszechnej obłudy. Do was tedy się zwracam o pomoc! Kobiety, które codziennie rozbieracie się do naga, łowcy szczęścia, bezwstydni szaleńcy, znudzeni miljarderzy, wieczni anarchiści, nieposkromieni dziwacy, łotrzy bezczelni, rycerze przypadku! Do was wołam: ratunku dla mnie i mojego kraju! Ruszajcie naprzód jednym wielkim pochodem, uzbrojeni w jawny bezwstyd waszej swawoli!] Naprzód! Czemprędzej! Nie oglądajcie się na nic! Odważnie! Na rogach ulic rozpalimy wielkie ognisko i spłoszymy brodaty mróz. Będziemy szczypać dostojne łydki i zdzierać plugawe maski! Będziemy tańczyć tak długo, aż wszyscy zatańczą z nami, aż

się zatchną! czcigodne brzuchy! Dalejże! Za mną! Wszyscy. Bez wyjątku! Rewolucja was woła!

Tygrysim skokiem rzucił się ku drzwiom i rozwarł je na oścież. Złota fala słońca buchnęła lubieżnie, wyzywająco.

Wśród pisku i wrzasku wszyscy ruszyli razem.

Tego samego dnia odszedł olbrzymi pociąg prosto na północ

Czy aby dojedzie?

„Drzazga“.





KOMEDYJKA.

Zbudzili się raptem, patrząc oczyma przestraszonych zwierząt na siebie.

Leżała z głową przewieszoną na jego ramieniu na śnieżnej bieli poduszek, ugarnirowanych potokiem blado-niebieskich wstążeczek. Na białym tle batystu zarysowała się jej kształtna główka w obramowaniu ciemnych, rozwichrzonych włosów, pachnących L' Origanem i ową specyficzną wonią jakie wydają skóry dzikich zwierząt.

W mroku sypialni, do której wciskał się seledynowy świt szczelinami żaluzji, zarysowały się jej kształtne purpurowe usta, podobne dwom płatkom maku i czarne głębie oczu patrzących na niego.

— Tak się nastraszyłam! Posłuchaj jak serce Siefci bije!...

Z udanem zainteresowaniem, śpiący jeszcze i lekko tłumiąc ziewanie, położył głowę na jej białych, jak puch śniegu piersiach i nadsłuchiwał bicia jej serca.

— Siefcia się tak bardzo nastraszyła — skarżyła się płaczliwie. — Pocałuj Siefcię...

— O, mój ty duży dzieciaku!... I czemu Siefa się nastraszyła?...

— Widzisz — śniło mi się, że mnie już nie kochasz... Powiedziałeś, że Siefcia jest „be“ i że kochasz już inną dziewczynkę... Siefcia tak strasznie płakała... Słyszałeś jak ze snu płakałam?...

— Nie, moja dziecino. Ty wiesz, że cię kocham i do śmierci kochać będę...

W tej chwili był Zygmunt szczery. Jakieś miękkie akordy liryczne wypełniły mu duszę, słodka niemoc i wspomnienie wypitych puharów szczęścia spowiły go w jedwabisty, miękki oprzęd bezwładu i kołysały pieściwie na fali wyczarowanej chwili nastroju, kiedy to marzy się z szeroko rozwartemi oczyma o cudnej bajce zwidzonego szczęścia na białych piersiach pięknej dziewczyny...

I Stefcia uległa nastrojowi chwili... Ona, taka maleńka, biedna dziewczyna... taka samusieńka na święcie, nie ma nikogo prócz tego człowieka o włochatej piersi i muskularnych ramionach, który ją zasłoni przed burzą przewrotnego życia i za rączkę powiedzie w taki jasny słoneczny kraj nad brzegami lazurowej wody, gdzie czeremcha kwitnie i różowe kwiaty oleandrów pachnących... Tam zdalą od ludzi usiądą na terasie marmurowego pałacyku spowitego w bluszcz karminowy i cicho swój sen szczęścia śnić będą, jak dwoje pięknych i młodych bogów greckich w poświęconym Afrodycie gaju...

Tylko czasem... czasem pojedzie Stefcia do pobliskiego miasta i kapelusz sobie kupi, taką pasterkę à la Watteau z czarną aksamitką pod brodą, co uwydatni jej kształtny owal twarzy i pójdzie do cukierni, gdzie przychodzą oficerowie ułanów z angielskimi wąsikami i w lakierowych butach z ostrogami... Tylko czasem...

O, ten młodziutki oficerek Tadzio, który pierwszy usłyszał krzyk jej bólu i wyczuł pierwszy spazm rozkoszy drgającego ciała Stefy!... Nawet nie wie, gdzie on teraz się obraca... Och, jak ona wtedy mężczyzn nienawidziła... Wziął ją prawie gwałtem, kiedy poszła jako młodziutka dziewczyna oglądnąć albumy do

jego mieszkania... Taki podlec!... Gdyby teraz mógł ujrzeć Stefę w całym przepychu piękna, żałowałby, że po tej jednej, jedynej nocy zostawił ją na ulicy przed bramą swego mieszkania, jak ulicznicę na noc kupioną...

— O, gdyby mnie teraz zobaczył! — myśli gorączkowo Stefa i gorąca fala krwi zalewa jej mózg i serce...

Później był ten idjota, który się w niej kochał i któremu na złość Tadziowi oddała się w przystępie kaprysu... Józek się nie liczy, bo to tak jakoś było od niechcenia, „tamten" Mundek wykorzystał chwilę jej słabości, Władzio tak umiał jakoś dziwnie pieszczotliwie mówić, a inni... mój Boże!...

Stefa odczuwa żal i gorycz do całego świata, ktorego nienawidzi i którym pogardza z głębi duszy... Tylko Zygmunt... Tak, Zygmunta kocha bardzo... Ach, jak ona go kocha!... On już będzie ostoją dla niej na całe życie, będzie mu uległa i posłuszna jak małe dziecko, wyczyta każde jego życzenie z oczu i pójdzie z nim na dolę i niedolę... On taki dobry, taki cacany i ma takie muskularne piersi... Czemu ona, Stefa taka maleńka wobec niego i taka słabiutka jak kiść trzciny wodnej, co łamie się za silniejszym podmuchem wiatru?... Czemu?...

Stefie robi się nagle żal siebie samej i łzy gorące tryskają z kącików oczu, po policzkach się tocząc i szyjce, zda się z kości słoniowej rzeźbionej.

— Zygmunt! — wymawia pieszczotliwie. — Mój ty!.. Kochasz bardzo Siefcię?

Zygmunt budzi się z lekkiej drzemki w którą popadł i przygarnia do siebie białą dziewczynę.

— Och, Zygmunt!...

* * *

Zygmunt dyszy ciężko z pod rozchłestanej na piersiach koszuli.

— I dziwne! — myśli pracując intenzywnie mózgiem, co zda się być spowity w jakąś gazę oszołomienia i czad indolencji. — To dziwne!... Odwieczne misterjum niespożytej kobiecości, leży obok niego na zmierzwionej pościeli, zagadka stara jak świat, a wiecznie młoda i nowa. Dała ze siebie ocean rozkoszy, wzięła tyle w jego ramionach i znowu czeka chłodna,

MISTYFIKACJA

Rys. M. Berezowskiej.



Z ust puszczając dymu kłąb
W wdzięcznej pozie się wygina
O czemś marzy, o czemś śni
Mówcie: chłopak czy dziewczyna?

Krótki włos i męski strój
Choć na chwilę nas stumani,
Ktoś ty? zdradzi młoda pierś,
Która tak jak sztylet rani.

zimna i pragnąca pieszczot całem swem ciałem, co drga wyczuwalnie w jego rękach, podnosi piersi marmurowe i usta rozchyla lubieżnie...

No tak, kobieta!... Czemże ona dla niego teraz, kiedy wypił rozkosz z jej kruż perłowych?... Leży w swawolnem przegięciu pijanej bachantki, bezwstydna w swej piękności rozchylonych ud, z chrapami co drgają jak u tabunnej klaczy, ze zmrużonemi oczyma, co za chwilę błysnąć mogą nowym ogniem i płonąć długo, jak oczy kocicy o zmroku, aż blachman rozkoszy, niby pajęcza, mleczna siatka nie zaćmi źrenic w rozkoszy przemocnej zwężonych... A potem?... Ujrzy znów kobietę o skrzypcowej okrągłości bioder, z drgającemi sutkami piersi, w przegięciu rozpustnem greckiej hetery, co zimna, biała i wiecznie głodna czeka pieszczoty i ofiary bożka Pryjapa... Czemże ona jest dla niego, ta biała, piękna dziewczyna?... Czyżby ją naprawdę kochał?... Zdaje się... Niewątpliwie... Bo miłość to jest tajemna moc, co w zaświaty...

Zygmuntowi urywa się nagle wątek myśli jak nić babiego lata... Z przerażającym realizmem wtłacza się w głowę myśl nowa: Która godzina?

Przypomina sobie, że zapomniał zegarek nakręcić i że klucze z szuflady redakcyjnej zostawił w domu... Przypomina sobie dalej, że dziś jest dzień feralny, bo piątek i 13-go, że niema papierosów i że ma masę spraw do załatwienia...

Szare, realne życie, trzymające pajdę chleba w garści, uchyla bordeaux kotarę sypialni i wchodzi, stając u jego wezgłowia.

Och, jak ta dziewczyna nieznośnie oddycha mu nad uchem!...

— Stefa, ja już muszę odejść!...

— Jeszcze trochę Zygmunt!... Jeszcze trochę...

* * *

Stefa znowu myśli:

Zygmunt odejdzie, trzeba będzie wstać i zebrać się... A te ażurowe pończochy ledwo się już trzymają... Za trzy dni puściły wszystkie oczka w pończosze z prawej nogi. Taka tandeta wojenna!... Żeby choć miała tę bluzkę taftową, którą oglądała

wczoraj za wystawą!... Formalnie się już między ludzi pokazać nie może w wiecznie tych samych bluzkach... A ten Zygmunt?... Mój Boże!... Niby to dobry i troskliwy, a czy choć raz zapyta: Stefciu, może ci trzeba bluzki?... Nigdy!... Te literaty, to widocznie inni ludzie, choć niby tacy sami jak inni... Głupi Zygmunt myśli, że ona bez niego żyć nie potrafi!.. Palcem kiwnie, a mieć będzie dziesiątki chłopców, co ją bluzkami zasypią i jeszcze prosić będą aby brała!...

Na gładkiem czole Stefy zjawia się podłużna zmarszczka i brwi się ściągają myślą, co wszechwładnie pod czaszką króluje.

— Nie, prosić nie będzie! On sam powinien zrozumieć co ona warta... Powie stanowczo i zdecydowanie... Tak powie!...

— Zygmunt!...

— Co dziecino?...

— Musisz mi kupić taftową bluzkę!...

Słowa te wlewają się w uszy Zygmunta roztopionym ołowiem i przesączają się krtanią do serca, które zamiera na chwilę ze straszliwego bólu.

— Czego chcesz Stefa? — pyta przez ściśniętą krtań.

— Bluzkę musisz mi kupić!

Milczenie...

Zygmuntowi robi się nagle w duszy tak jałowo i przestronnie, jak człowiekowi, co popada w omdlenie.

— Bójcie się Boga! — myśli gorączkowo — Bójcie się Boga! I oto ta kobieta, którą może najbardziej w życiu umiłował, ma odwagę żądać od niego coś w rodzaju zapłaty za spędzoną noc; w chwili kiedy był cały jej, kiedy przyśnił się człowiekowi urywek boskiej pieśni... akord nieśmiertelnego poematu... Boże, toć to zdawało się tak sielankowo rozpościerać się przed duszą!... Takie miękkie, aksamitne przeploty drgnień serca, piersi oczu!... A tu?... Robak pełzający!...

Zygmunt był poetą. Poetą — jak zwyczaj każe — bez pieniędzy...

Popadł w jakieś odrętwienie duchowe i majaczenie półświadome, a kiedy w umyśle zaczęły się rodzić wątki rzeczy realnych (och, ta bluzka!) odpędzał je całą siłą woli i mącił z obawy, aby nie dopuścić kojarzeń w łańcuch logicznego myślenia.

— Zygmunt! Słyszałeś?...

Milczenie.

— Najparadniejsze to — myśli Zygmunt — że ja sobie takie niebosiężne rzeczy wyobrażałem! Te ognie, te huragany pragnień, te halucynacje zwycięstw przeogromnych nad duszą zwyczajnej dziewczyny!... A to było co?... Pleśń, szał spleciônych lubieżnie ciał, zetlone popioły i zwyczajna chęć zysku u kobiety, którą umiłował nad życie... Prostytutka! Zwyczajna pro-sty-tutka! A... a... a, jak boli!

Zygmunt zaciska zęby, aby głośno nie skowyczeć.

— Tak, tak... Przespała z nim noc i każe sobie płacić! Dobrze, dobrze! Zapłaci — o, po królewsku zapłaci!... Nie ma pieniędzy?... To nic! Pożyczy, a zapłaci za noc! O, zapłaci!... To nic, że ostatni raz go widzi i że ostatni raz leży u jej boku...

Zygmuntowi robi się nagle żal własnego życia i czuje się tak pokrzywdzony przez świat i ludzi, że płakałby jak małe dziecko.

Raptem przychodzą refleksje: A co będzie gdy ze Stefą zerwie?... Czy zaraz znajdzie inną dziewczynę, któraby tak płonąć umiała jak żagiew smolna w jego objęciach? A jeśli nie znajdzie?... Teraz sprzedajne kobiety są tak drogie... Najmniej 500 marek!... Co tu począć?... A jednak zerwie!... Honor mu nie pozwala nie zerwać! Jakto — żąda od niego bluzki, która kosztuje najmniej 4.000 marek w chwili takiej i w takiej sytuacji, kiedy mężczyzna kobiecie niczego odmówić nie potrafi? O, tak!... Wykorzystała sytuację i każe sobie płacić!... Prosty...

— Zygmunt! Słyszałeś co ci mówiłam! — rozlega się niecierpliwie syczący głos Stefy.

— Słyszałem i zapłacę ci za noc, nawet dwoma bluzkami!..

— Jak ty to powiedziałeś?... — woła Stefa, siadając na łóżku.

Teraz pora na wypowiedzenie, co Zygmunta boli.

Płynie potok wymowy z ust rozgoryczonego samca, kwiecistą strugą poezji... On ją tak kochał jak bóstwo wyczarowane z piękna duszy własnej... Życie zagłuszyło w nim kwiecie miłości, co dla niej na nowo zakwitło i zapachem swym niby wonną strugą przez serce napływa i duszę cichą radością kołysze i kochania mistyczne prądy rzewną melodją pieści... I co

się z nim stanie, gdy odejdzie od niej z piersią wyziębłą i przeświadczeniem, że ukochana kobieta (ona, Stefa!) każe sobie płacić za miłość, jak przedajna dziewka uliczna?...

Zygmunt rozczula się własnemi słowy i czuje słoną rosę łez na rzęsach.

— Stanowczo to biorę za tragicznie! — myśli w antraktach swej przemowy. — Stanowczo za miękko mówię, jak na mężczyznę przystało!...

— Bój się Boga Zygmunt, co ty mówisz?!

Zygmunt poczyna raptem wierzyć w swój ból i mękę, zadane mu ręką tej nielitościwej dziewczyny. O, przestanie się bawić w liryczne nastroje! Zemsty mu trzeba!

Zemsty, którąby uderzyła sztyletem w serce tej zimnej kobiety!

Zrywa się z łóżka i poczyna się pospiesznie ubierać.

— Zygmunt! Bój się Boga; co ty robisz? — woła Stefa z rozwartemi oczyma.

— O tak! Ty myślała, że ja nie wyczuję całej ohydy twej duszy?... Cha! cha! cha!... Ty myślała — mówi Zygmunt zapinając szelki — że ja nie wyczuję, że całą twą miłość kłamaną pokrywał pancerz egoizmu i że dawno czekałaś tej chwili, aby sobie za miłość kazać zapłacić!...

Stefa wybuchła łzami.

— Zygmunt! Zygmunt!...

— Nie!... Choć nie mam chwilowo pieniędzy — pójdę i pożyczę! Rzucę ci do nóg pięć tysięcy marek i zapłacę jak najlepszy... gość!... Cha! cha! cha!...

Zygmunt czuje, że gra jak wytrawny aktor dramatyczny... Jakiś ogień bucha mu ze źrenic, rwie się z szaloną żądzą odwetu i krwawą nienawiścią, rozpiera się zemstą okrutną i wyrzuca mu ręce w gestykulacji... jarmarcznego tragika.

— Nie!... Rzucę ci zwój banknotów do nóg i zapłacę prostytutce za noc!...

Teraz kolej na Stefę...

Siada z nogami opuszczonemi na krawędź łóżka, z wypiekami na twarzy, włosem zwichrzonym w nieładzie. Białe, aksamitne piersi wystają z pod dekoltowanej koszuli, jak dwa białe kotki o zaróżowionych pyszczkach...

— Więc ty naprawdę jesteś taki podły?... O, ty bezczelny kłamco!... Czy ty myślisz, że ja potrzebuję twojej bluzki, idjoto?... Oto jest podziękowanie za moją miłość, za moje serce, za moje poświęcenie!... W twarz ci rzucę twoje pieniądze, ty bezwstydny!...

— A jednak poszlę pani zaraz przez chłopca z redakcji pieniądze na dwie bluzki — mówi Zygmunt, zapinając kołnierz. — Zapłacę pani za noc... Przecież pani mi skredytuje na dwie godziny?...

— Podły! podły! podły!...

— Niepotrzebnie się pani irytuje. Pieniądze będą za dwie godzinki.

— A ja ci powiadam, że gdy poszlesz mi pieniądze, to się otruję i służącego zrzucę ze schodów razem z pieniądzmi.

Zygmunt wie, że Stefa pieniędzy nie przyjmie, ale musi ją ukłuć do krwi i postanawia za wszelką cenę wydostać na chwilkę obiecaną sumę, aby tej dziewczynie dopiec do żywego.

— Pozwoli pani, że pożegnam ją na zawsze! — mówi Zygmunt ubierając palto. — Zaręczam pani, że pieniądze na dwie bluzki będą za dwie godzinki. Żegnam.

Zygmunt znika za bordeaux kotarą — skrzyp klucza obracanego w zamku — szelest zstępujących kroków po schodach — cisza...

Stefa pada z szlochem spazmatycznego płaczu na białą poduszkę.

* * *

Zygmunt wydostał pieniądze.

Służącego z redakcji podprowadził aż pod bramę domu i wręczając mu zwitek banknotów w kopercie, mówi: Pójdziecie na górę do tej pani gdzie gazety nosicie i dajcie jej tę kopertę. Powiecie, że ja posłałem. Pani tych pieniędzy nie weźmie i będzie się przypuszczalnie irytować, a może nawet zechce was wyrzucić. Wtedy zabierzecie kopertę z pieniądzmi z powrotem i mnie ją wręczycie. Będę na was czekał pod bramą. Broń Boże w zamieszaniu nie zapomnijcie odebrać pieniędzy!... Rozumiecie?...

— Ach, co za satysfakcja! — myśli Zygmunt z sadystyczną

rozkoszą. — Zobaczy, że serjo traktuję ją jak na to zasłużyła. Trochę trudu kosztowało wydobycie tych pieniędzy, ale obiecałem oddać za godzinę. O, ja znam Stefę! Umrze, ale w ten sposób ofiarowanych pieniędzy nie przyjmie!... Niech ma nauczkę! Niech ma... Ciekaw jestem czy go też wyrzuci?...

Rozmyślania Zygmunta przerwał służący, wyłaniający się z czeluści bramy.

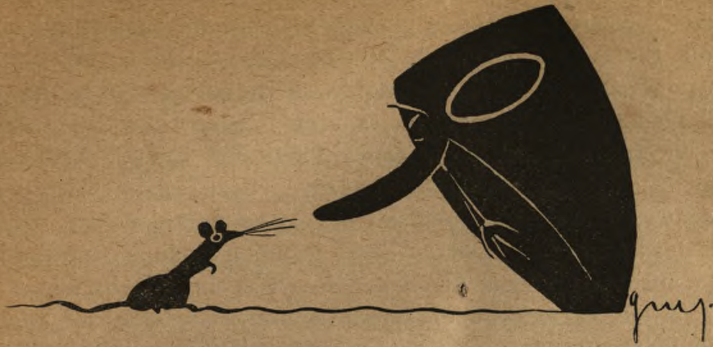
— No i co?... No i co? — pyta gorączkowo Zygmunt.

— Pani wzięli i dali mi pięć marek na piwo.

— Jezusie Nazareński! — zajęczał Zygmunt, opierając się o ścianę. — O podła!!!

W. Raort.





O poezyi wyklętej.

Istnieje poezya, której często marzyć nie wolno o dobrodziejstwach wynalazku Gutenberga. Poesia proibita, muza wyklęta, bez nazwy i cyfry, muza upośledzona, bo sprośna i nieprzyzwoita, muza nieszczęśliwa, bo mianem pornografii napiętnowana...

Istnieje poezya nieprzyzwoita od tak dawno jak i — przyzwoita. To pewne. Ma swoją historyę. Chociaż nienapisaną i swoje księgozbiory, choć na siedm spustów zamknięte, swoich wieszczów i bardów i swoją — nieśmiertelność. Albowiem i ona

.... gdy się raz zaczyna
W dziedzictwie z ojca przechodzi na syna.

Poesia proibita nie martwi się swą klątwą i potępieniem. Wie dobrze, iż mimo wytworną nawet i bogatą szatę słowa zawsze pomawiać ją będą o bezwstydny negliż, a wiersz jej choćby najświętszy „chodzi zawsze, jakby w łaźni nagi“.

Jak długo ludzie używali książek zamykanych na kluczyki, działo się lepiej poezyi wyklętej. Ale gdy zaprzestano tego obyczaju, stała się bezdomną i tuła się jeno po uczniowskich kajetach, lub ustronnych przymurkach, lub starych z przed lat dwustu rękopisach. A tylko czasem o dziwo, przylgnie chyłkiem do kart księgi uczonej, leżącej na widoku na półkach księgarskich. Lecz tam jest bardziej, niż pod kluczykiem bezpieczna.

Poezya wyklęta szczyci się i słusznie dostojeństwem swego stylu i wyrażenia. Jej język wywodzi się w prostej linii od — Króla Piasta. Jej język nie bywał nigdy męczony na Prokrustowem łożu literatury, nie hołdował modom i stylom, nie musiał kłaniać się wielmożnym regułom i przepisom, nie ubierał się w trefione szaty elegancyi. Nie był „giętki, jak aniołów mowa" lecz odstraszająco rubaszny i bezpośredni. Ten język plugawy, potępiony, prostacki, ma jedno dostojeństwo, którego mu zazdroszczą wszystkie frazesy jaśnie oświecone: terminologia jego pozostała taką samą, jak była za Lecha i Dąbrówki.

Kiedy o poezyi nieprzyzwoitej mowa, zwykło się wymieniać jedno nazwisko: Fredro! Fredro, ah, Fredro! Nie bez rozrzewnienia wspominamy uczniowskie lata, owe ukradkiem przepisywane „Mrówki" czyli dalszy ciąg Pana Tadeusza, w Lipsku jakoby drukowany, albo tragedye greckie, o niedających się powtórzyć tytułach, albo jakąś najrdzenniej polską: *ars amandi* nie — Owidyusza. Cokolwiek i gdziekolwiek kto sprośnego czytał, uważał Fredrę za niechybnego owej sprośności autora. I stąd poszło, że sekretna twórczość Fredry lat ostatnich obfituje w utwory, które nigdy z pod jego pióra nie wyszły. I stąd utarło się, że ojciec komedyi polskiej poczytany został za ojca wszystkiej nieprzyzwoitej poezyi.

Odium i gaudium jedynego autora utworów „pornograficznych" spadło na Fredrę niezasłużenie. Poezya wyklęta chciałaby przeciw temu protestować, ale trudno jej głos zabrać i dowody przytoczyć. Ale jakoż to uczyni? Gdyby wolno jej było mówić *coram publico*, gdyby papier był cierpliwszy wykazałby, że nie jeden Aleksander Fredro, ale różni inni wielcy mistrze Parnasu bywali nieraz, acz przelotnie jej kochankami i czasami w odgrodzone baryerą potępienia ostępy sekretnej twórczości zjeżdżali na gościnne występy nawet — wieszczowie narodu. Zjeżdżał Jan Kochanowski, Wacław Potocki i Morsztynowie, zjeżdżał, o dolo, Niemcewicz i Krasicki, zjeżdżał, o dziwo, Kazimierz Brodziński, zjeżdżał, o zgrozo, Adam Mickiewicz.

Jak w masoneryi są rozmaite stopnie tajemnicy, tak i w poezyi wyklętej są coraz „wyższe" regiony, coraz trudniej dostępne dla profanów. Tajemnic pierwszego stopnia udziela *poesia proibita* bez trudności, te wszelako mają najmniej amatorów. Któżby

np. przedzierał się przez gąszcz niezdarnej polszczyzny ojca literatury Mikołaja Reja tylko dlatego, by w nim szukać „obscenów“, które zresztą nie były nimi w czasie, kiedy swawolne w wyrażeniach „Rozmowy Marchołta“ podawano „dzieweczkom gwoli nauce“, w czasie gdy oficyny Watykanu były ojczyzną wszetecznej anegdoty? W wieku XVI nie było literatury sekretnej. Rej z Nagłowic ujmował najspokojniej w rymy anegdotę, którą dziś tylko bardzo młodzi panowie lub bardzo wiekowe panie na ucho sobie opowiadają.

Swawolne minki i fraszki Jana z Czarnolasu są drugim stopniem tajemnicy. Czego nie można wypowiedzieć, to należy wykropkować. Stróżem moralności są tu kropki. Cenzurze kropek ulega dalej Wacław Potocki w swym „Ogrodzie fraszek“ i „Moraliach“, dalej Jabub Trembecki z „Wirydarza“ którzy nie przebierają w doborze kwiecistych i soczystych wyrażeń. Jeszcze dalej w poezyach Węgierskiego znaczne spustoszenia czynią kropki. A kto dokładnie przeczyta 5 tomowe archiwum filomatów, napotka nie bez rozrzewnienia, że Muroc największych moralistów kropeczką kładzie pieczęć na ustach i czasem nie dozwoli nawet dokończyć przekładu z Horacego!

A potem i kropki nic nie poradzą. Kropki dadzą sobie jeszcze radę z dwuznacznikami. Lecz są autorzy i dzieła tak dalece jednoznaczne, że im kropki nic nie pomogą.

Największym jednoznacznym autorem, majstrem i epikiem sprosności polskiej jest Andrzej Morsztyn, autor „Nieobiecanego kąska“, który w swej mowie sekretnej dosiągł takiej plastyki wiersza, jakiej nie mógł osiągnąć w poezyach przyzwoitych. Arcymistrz lubieżnego słowa nauczył się swej sztuki od rozpustnych Włochów i Francuzów, wzbogacił ją przednio bujnością lechickiego temperamentu i tak wołał w przedmowie do „Fraszek“:

> Ustąpcie, żartów kto nie znosi! I wy,
> Którym rumieniec zapala wstydliwy
> Pod słuszną gębą, u których niewolny
> Język i za grzech idzie wiersz swawolny.

Nic też nie pomogą kropki poetom Stanisławowskim. Stanisław Trembecki bardziej znany był w Warszawie XVIII w. ze swej „Ody do Priapa“ niż z „Zofiówki“, podobnie jak Narusze-

wiczowskiego „Słowika“ przenoszono ponad nudne jego ody. Ludzie z dworu króla Stasia umieli na pamięć filuterne pornografie Węgierskiego i zagadki ks. biskupa Warmińskiego i spisywali je ku uciesze potomnych. Wszelako potomność, zgorszona tą swawolą, płonęła rumieńcem i paliła wesołe wierszyki. Dość powiedzieć, że nawet pani Georges Sand oburza się w pamiętnikach na swą babkę, w której kantorku znalazła sekstem rymów nieskromnych.

Atoli największy z polskich swawolników zrobił figla cenzorom moralności i swojej braci wyklętej. Jest bowiem *in extenso* wydrukowany! Ale — w klasycznej łacinie ten sprośnik jest naprawdę obrzydliwy i nieestetyczny, najplugawsze pomysły, jakie wylęgły się w głowie szalejącego humanisty, najswobodniejsze słóweczka anegdoty, porównania, wszystko tu znajdziecie u niego — ale w klasycznej łacinie! Żywoty pań swawolnych wydają się wobec niego brewiarzem, poczciwe pornografie starego Fredry — elementarzem dziecinnym, ale cóż — w klasycznej łacinie Kto zacz jest ten sprośnik? To ks. prymas Rzeczypospolitej, znany poeta złotego wieku Andrzej Krzycki.

Literatura wyklęta ginie i trudno, aby nie ginęła. Za młodzi jesteśmy cywilizacyjnie, aby zdobyć się na odwagę drukowania tych bezcennych dla historyi kultury dokumentów, tak jak to z pietyzmem czynią Francuzi, Niemcy. Włosi. Trzebaby przedtem wynaleść sposób, aby numerowane egzemplarze takich ksiąg zakazanych nie dostawały się nigdy w ręce pensyonarek.

St. Wasylewski.



KĄPIEL

Rys. M. Berezowskiej.



Tak jak przodkowie
niegdyś karabeli
Wydobywali z pochew aksamitu,
Tak bym wyciągnąć cię
pragnął z szat bieli,

By stworzyć oczom swym
moment zachwytu
W chwili gdy rannej oddajesz kąpieli,
Swe członki młode, zwarte
jak z granitu.



ZBRATANIE STANÓW.

W gęstej mgle na ulicy Warszawy schodził mrok wieczorny, zapalone światła latarń gazowych, bynajmniej nic nie oświetlając, przedzierały się przez szyby latarń jeno swym kolorem czerwonym, niby zawieszone tam żółtko kaczego jajka.

Po ścianach domów, w zagłębieniach ich spoczywał wilgotny, szarawy męt, który spowijał również i przechodniów, tak że tworzyli oni czarne grupki, razem w jedną lub drugą stronę się przesuwające.

W taki oto listopadowy wieczór wracał o dwa dni zawcześnie do domu pan Feliks Adamski, ajent wielkiej firmy Singera, najprzeciętniejszy obywatel polski, bez binokli, wysokiego czoła, garbatego nosa i strasznej postawy — jeżdżący na prowincję w celu skłonienia mieszkańców przeróżnych mieścin i wiosek do nabywania maszyn do szycia, jako jedynego, niesłychanego dobra ziemskiego, wygody, rozrywki nie powszedniej — słowem rzeczy szczęśliwość wszelaką zapewniającej.

A wracał filar firmy Singera z Sulejowa, gdzie nadspodziewanie prędko sprzedał ni mniej ni więcej tylko 18 sztuk maszyn do szycia. Ilość ta zapewniła p. Feliksowi możność kupie-

nia swej młodej małżonce białego lisa — marzenia p. Heleny Adamskiej.

Rozradowany nad zwyły stan dnia powszedniego, zachęcony do pracy stokroć większej niż dotychczas i naglony dobrą z nikim jeszcze nie podzieloną nowiną p. Feliks mierzył krótkiemi nogami wytarte kwadraty chodnika tak szybko, jak to czyni człowiek jakąś nagłą, a wewnętrzną chęcią przyspieszany.

Po drewnianych stopniach, zupełnie mrokiem zasłanych wbiegł p. Adamski dziwnie lekko i bez zmęczenia na trzecie piętro. Zadzwonił raz, drugi, trzeci. Nie otwierano. Zadzwonił raz jeszcze. Zdawało się mu, że usłyszał czyjś szept, a po chwili kroki przyspieszone, bynajmniej nie skierowane ku drzwiom pod któremi stał, a przeciwnie oddalające się wgłąb mieszkania.

Do głowy p. Feliksa razem z krwią uderzyła myśl: „Żona wyszła — złodzieje weszli“. Schwycił więc oburącz klamkę i potrząsnął z całych sił drzwiami, krzycząc jednocześnie:

— Otworzyć, bo będę strzelał!

Z czego miał strzelać pan Feliks, sam nie wiedział, ale wierzył, że jeśli mu w tej chwili nie otworzą — wystrzeli.

Pan Feliks więc jeszcze raz potrząsnął drzwiami, które w tej chwili pociągając za sobą napierającego p. Feliksa, odepchnęły w głąb otwierającą je p. Helenę, mniej zmnieszaną, ale w zupełnym nieładzie będącą.

— Ach to ty?! Czego się awanturujesz?

— No bo...

— Obudziłam się z takiem biciem serca, myślałam, że to Bóg wie co, a to ty...

— Ja, ja... — zaczął p. Feliks, gubiąc dalsze słowa w pocałunkach powitalnych — myślałem że złodzieje.

— Tembardziej trzeba było być cicho i poczekać na schodach, by ich złapać.

— Bałem się, że mogą wyjść przez kuchnię.

— Też! jakbyś nie wiedział, że złodzieje kuchennemi drzwiami nie wychodzą.

— Nigdy nie byłem złodziejem — odpowiedział zadowolony już p. Feliks, wchodząc wraz z żoną do stołowego, jednego z dwóch pokojów państwa Adamskich.

Po zapaleniu światła w stołowym pokoju spotkała znów p. Feliksa niespodzianka, powodująca najpierw przerażenie, potem szereg niezliczonych pytań, na które p. Helena dawała odpowiedzi aczkolwiek dość niejasne, to jednak przekonywujące.

Na stole w pośrodku pokoju, między dwoma dość blisko obok siebie stojącemi nakryciami sterczały wymownie: karafka wypróżniona i do dna spełniona butelka, mocno osuszała po krew krzepiącym węgrzynie. P. Feliksowi trzeci raz tego wieczoru uderzyła krew do głowy. Bezsłowne, wyrażone jeno mocno rozwartemi oczami pytanie ajenta maszyn Singerowskich zawisło na pięknej sylwecie p. Heleny, która chcąc pokryć swoje zakłopotanie spytała:

— No i cóż, czemu tak patrzysz na mnie Adasiu? Opowiedz lepiej, jak ci się udała podróż?

Wściekłość p. Adama tymczasem lokowała się już na dobre we krwi, spłynęła do rąk zaciśniętych, białka oczu zawlekała czerwoną mgłą.

— Co to ma znaczyć? — ryknął z całych sił, wskazując ręką stół.

Pani Helena milczała, sama teraz wzrokiem pytającym spokojnie patrząc na czerwonego ze wściekłości p. Feliksa.

— Kto tu był? mów, albo...

P. Adam chciał znów zagrozić strzelaniem.

— Jak się będziesz złościł nic nie powiem — zaczęła spokojnie p. Helena, opanowana już przez myśl jasną, szczęśliwie w porę przybyłą. — Wiedz o tem. że swojem bohaterstwem zupełnie nie zasłużyłam na podobne rzeczy,

Słowo bohaterstwo było jakby szklanką wypitej duszkiem przez p. Feliksa zimnej wody.

— Jakie bohaterstwo? — zapytał więc spokojnie topniejąc w sobie.

— Możesz to nazwać, jak ci się podoba — dla mnie to bohaterstwo, żadna kobieta by się na to nie odważyła.

O tem, że p. Helena była wyjątkową kobietą, p. Feliks wiedział nadto dobrze, często przecież sam o niej to mówił i nawet kilka razy wręcz jej to powiedział — mimo wszystko w tej chwili nie był w stanie jeszcze wszystkiego zrozumieć, zapytał więc już teraz bardzo nieśmiało:

— Co się stało, bo doprawdy?...

— Jak tak pytasz, to odpowiem. Zadługo żyjemy razem, zadużo ci dałam dowodów zupełnego oddania, byś stąd ni zowąd krzyczał na mnie, krzyczał na mnie, krzy...

Łzy widać było w oczach p. Heleny.

— Przepraszam cię bardzo, ale przecież ty na mojem miejscu...

— Ja — przerwała p. Helena — nigdy.

— Więc odpowiedz — poprosił, topniejąc już zupełnie.

— Tak ciebie pragnęłam przez ten czas... zwłaszcza do tej pieszczoty, której cię nauczył ten francuski komiwojażer, a ty, a ty...

P. Helena znowu gotowała się do płaczu.

— No cicho Helenko! — z krtani p. Feliksa wydobywały się jakieś dziwne dźwięki.

— A że poszłam z nudów do Marylki — zaczęła opowiadanie p. Helena — to dlatego, że nie mogłam być bez ciebie. Wychodząc zabrałam pieniądze i w drodze... naprawdę za trudno mi mówić, jeszcze ta twoja scena, co ja przeżyłam, co ja przeżyłam...

— Zgubiłaś pieniądze?

Czwarty raz od powrotu do głowy p. Feliksa uderzyła krew.

— Ach nie zgubiłam,

— Ukradli ci?

— Właśnie, właśnie że ukradli.

— He? — p. Feliks zaczął wychodzić ze skóry.

— Ani grosza! — odpowiedziała z tryumfem p. Helena.

— Więc? — p. Feliks opadł.

— Właśnie dzięki temu człowiekowi i życie moje i nasze pieniądze... — tu pani Helena głęboko bardzo westchnęła.

Cisza zaległa. P. Feliks coś ważył w nieco wydłużonej głowie, przez którą tyle myśli przeszło od powrotu, do której ni mniej ni więcej cztery razy krew uderzała.

— Ja ci to wszystko, kiedyś opowiem szczegółowo... cały dzień wczorajszy przeleżałam zupełnie rozstrojona, złamana... gdybyś wiedział wszystko, to byś mi nigdy słowem tego nie przypomniał, jeśli cię choć trochę obchodzę ja i te moje, w moim wieku kamienie żółciowe.

P. Feliks poszedł do p. Heleny i wyszukaną pieszczotą ajenta od Singera starał się uspokoić swą zdenerwowaną żonę.

W zgodzie zupełnej, zadokumentowanej głośnymi pocałunkami, państwo Adamscy przeszli do swej sypialni, gdzie z lubym szeptem mieszały się szum i szelest rozmaitych przytuleń, przygniatań, przyklepań, poklepań, przygłaskań, pogłaskań, podlizań, podślinień, przyślinień, przyciśnieć, wciśnięć, wtargnięć, ruchów, wsteczruchów, podruchów, tarzań, nurzeń, słabnięć, osłabnięć, westchnienia i przysięgi słowa, że już nigdy Feluś, Felunio, Felowinka, Felinder, Felcio, Felo i Feliś nigdy o tym wypadku wspominać nie będzie.

Dwie duże łzy zasypiającej p. Heleny rozstrzygnęły ostatecznie na jej korzyść sprawę białego lisa.

* * *

Znowu słońce, wdzierając się przez zakwiecone mrozem szyby i opuszczone rolety nie zdołało długo zbudzić państwa Adamskich. Przed południem dopiero wstał p. Feliks. Ubierał się pospiesznie, a cicho, by nie przerwać zasłużonego odpoczynku swej żonie, wyjątkowej kobiecie i bohaterce.

Gdy już był prawie ubrany, sięgnął ostrożnie pod poduszkę p. Heleny, gdzie wczoraj był włożył swoim zwyczajem portfel z pieniądzmi oraz deklaracjami nowych nabywców maszyn. Wyciągając portfel, p. Feliks wyciągnął z pod głowy mocno śpiącej p. Heleny fotografię młodego i zupełnie przystojnego mężczyzny w mundurze urzędnika wojskowego.

Otóż to znów? — pomyślał zdziwiony — wnet jednak domyślił się, że jest to fotografia „tego człowieka“ o którym nie wolno wspominać, w każdym bądź razie człowieka, któremu zawdzięcza wedle słów Heleny i całość swych pieniędzy i życie żony.

Ze względu na późną porę i chęć naglącą zakupienia lisa wybiegł p. Feliks z domu bez śniadania.

Po otrzymaniu w biurze Singera procentów od sprzedaży 18 maszyn, czyli ogółem dość pokaźnej sumki, p. Feliks nabył w jednym z pomniejszych składów futer białego lisa, który, jak słusznie przypuszczał, nietylko sprawi radość żonie, ale

i znacznie podniesie urodę jej twarzy, obramowanej warkoczami pięknych, czarnych włosów.

Po załatwieniu tego niezwykłego w życiu swojem sprawunku, p. Feliks wrócił do domu.

Nadspodziewanie wielka radość p. Heleny z podarku, jej czułe podziękowanie i słowa o jej wielkiej dla męża mówiące miłości, były początkiem dwudniowego nie dającego się piórem opisać szczęścia p. Feliksa.

Dwudniowego, bowiem już na trzeci dzień rano p. Feliks zajmował miejsce przy oknie w przedziale drugiej klasy pociągu odchodzącego do Gołonoga. Do odejścia pociągu pozostawała jeszcze niespełna godzina. Pan Adamski zwykł był bardzo wcześnie przychodzić na stację, a to w tym celu, że po znalezieniu sobie wygodnego miejsca w wagonie układał plan ofenzywy na te lub inne miasteczka, które dotychczas nie widziało nigdy maszyny do szycia składanej, wyjmowanej dla użytku z pięknej szafki, niezwykle wytwornego, jak mówił zachęcająco p. Feliks, sprzętu domowego.

I dziś, jak zwyle wypisywał pracowity filar firmy Singera szereg miejscowości nowych, a upośledzonych jak: Gołonóg, Dąbrowa, Podgórze, Łagisze i jeszcze innych wiele obiecujących większy zarobek, co zatem idzie błogosławiony dobrobyt. Wśród tych fachowych rozmyślań i odważanych w głowie planów, p. Feliks spotkał się ze spojrzeniem człowieka, który wszedł do przedziału i zajął miejsce naprzeciw siedzącego p. Adama. Nowy pasażer był w mundurze urzędnika wojskowegu z monoklem w oku, przy rewolwerze i pałaszu.

Od pierwszego spojrzenia p. Feliksa na przybysza, w głowie ajenta uwiązła myśl „skądś go znam“. Myśl ta rozpędziła wszystkie fachowe myśli p. Adamskiego i szukała w zakamarkach głowy odpowiedzi.

Przybyły natomiast, niczem ze swej strony nie zdradzał faktu znajomości z p. Feliksem. Zdjął szynel, wyjął jakiś dziennik, zasiadł sobie wygodnie na miękkiej ławce i czytał. P. Feliks zaś od każdego krótkiego spojrzenia w stronę czytającego wynosił bezwzględną pewność, że go zna. Cofał się myślami w odległą przeszłość, przypominał sobie wszystkie domy, w któ-

rych był sprzedał maszyny do szycia, okoliczności wśród których mógł poznać urzędnika wojskowego.

— A nięch go djabli wezmą! — zawyrokowała jedna z bardziej zmęczonych myśli.

— Ale jak on się nazywa? — zaniepokojone pytały inne.

— Może to ten znajomy Kwiatkowskiego? — zgadywał mimo wolę postanawiającą nie interesować się więcej tą sprawą.

Długo szukały myśli miejsca poznania i obmacywały każdą literę alfabetu — początku nazwiska urzędnika wojskowego — zawiedzione zaległy na odpoczynek.

P. Feliks sięgnął po portfel, by w nim odnaleść kartkę, na której wypisane były nazwiska bogatszych mieszkańców Gołonoga.

— On! — wykrzyknął prawie że głośno ajent od Singera, otwierając portfel i spoglądając to na przed oczyma leżącą fotografię, to na urzędnika wojskowego.

— On, on, on! — powtórzył sobie kilka razy radosne stwierdzenie.

— Przepraszam pana, czy pan czasem nie zna pani Adamskiej? — zapytał urzędnika jednym tchem.

Mężczyzna w mundurze odłożył gazetę, poczem z lekkiem zdziwieniem popatrzył przez monokl na rozradowanego p. Feliksa.

— Adamską, Adamską? — pytał siebie, nie mogąc widać odrazu przypomnieć sobie tego nazwiska.

— Helenę — dopowiedzinł p. Feliks.

— Helenę?

— Helenę Adamską.

— Ach tę z Żurawiej.

— Właśnie, właśnie! — pospieszył p. Feliks.

— Ach panie drogi!...

— W tramwaju? — zapytał p. Adamski.

— W tramwaju? Nie, nie używam nigdy dla tych celów tramwaju, w jej mieszkaniu, pierwszy raz w życiu musiałem wychodzić od kobiety kuchennemi drzwiami.

— A dlaczego kuchennemi? — zapytał się naiwnie p. Feliks.

— Bo akurat wtedy, gdy zdołałem w sobie pokonać wstręt

do barchanowych majtek, które ona nosi, zadzwonił jej mąż, jakiś komiwojażer...

Krew zalewała mózg p. Feliksa.

— A czy pan również zna ją, jak to mówią, bliżej...

— To moja żona! — wypluł z siebie ajent, zrywając się na równe nogi i stając groźnie przed urzędnikiem, który najspokojniej w świecie wyjął z pochwy rewolwer i mierząc w stronę p. Feliksa rozkazał:

— Proszę usiąść!

P. Feliks usiadł, raczej opadł na ławkę, drżąc z mieszaniny strachu i wściekłości.

— A teraz pomówimy spokojnie. No cóż pomówimy? — zapytał urzędnik, odsuwając zabezpiecznik rewolweru.

— Po... po... pomówimy.

— A więc niech mi pan przyrzeknie — no co przyrzeka pan?

— Nie wiem o co...

— Wszystko jedno, radzę przyrzec.

— Przyrzekam.

— Pod słowem honoru?

— Tak.

— No dobrze! Że zaraz po powrocie do Warszawy kupi pan Adamskiej...

— To moja żona...

— Proszę nie przerywać! Pozwoli pan, że położę rewolwer na kolanach, co nie przeszkadza, że za niedotrzymanie słowa... rozumie pan...

— Tak.

— Otóż po powrocie kupi pan tuzin cienkich majtek.

— Dla pana może?

— Oczywiście, pan jest przyzwyczajony do barchanowych.

— Nigdy!

— Zaraz po przyjeździe — muszę znów wziąć rewolwer do ręki — no kiedy?

— Zaraz po powrocie.

— A widzi pan, przecież jesteśmy dżentelmenami...

Zimny pot kapał z czoła i twarzy p. Feliksa, jak z dachu podczas pierwszej odwilży.

— Tylko niechaj pan nie sądzi, że się uda panu z tego wykręcić, będę sprawdzał co tydzień.

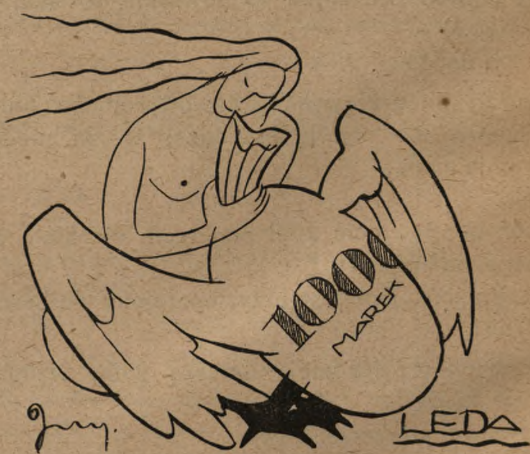
— No, bo wystrzeli... pa... panie — zajęczał Feliks, widząc, że urzędnik niedość ostrożnie obchodzi się z rewolwerem.

— Głupstwo! Pozwoli pan, że mu się przedstawię: jestem hrabia ...lski. A teraz zbliżamy się do stacji, na której proszę, rozumie pan, proszę ten pociąg opuścić.

— Rozumię panie hrabio.

Rzeczywiście pociąg wpadł na stację, po której w kilka minut potem chodził z walizką i nisko opuszczoną głową p. Feliks Adamski, który nie bez pewnego zadowolenia rozmyślał: „Poznałem prawdziwego hrabiego... Z hrabią można... Hrabia Ryszard, ja i Helena, właściwie hrabia Ryszard, Helena i ja... Ale swoją drogą mógł wystrzelić... Heluś, czy był u nas wczoraj hrabia Ryszard? Tak... Nic dziwnego, że go barchan raził... Heli przyrzekłem, jemu dałem słowo honoru... Po powrocie z Gołonoga kupię z początku pół tuzina a za miesiąc drugie pół. Sześć par powinno na miesiąc wystarczyć, wreszcie można przeprać.

Jan Żyznowski.



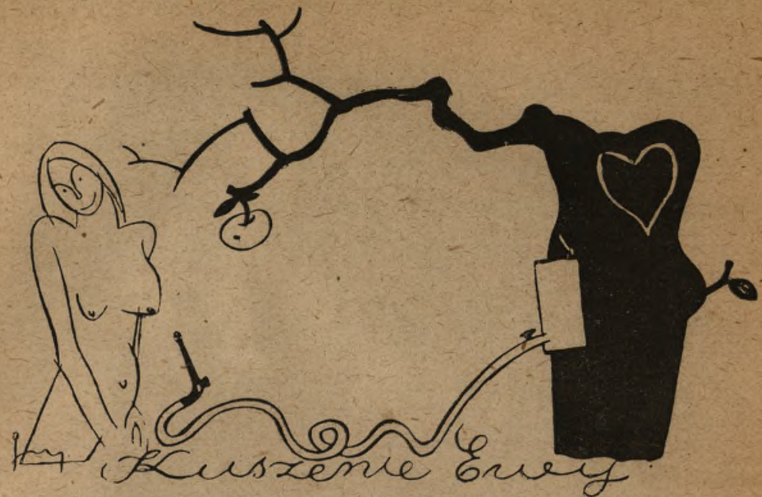
TRZY SIOSTRY

Rys. M. Berezowskiej.



W pierwszej kochałem zapach
Chodziłbym za nią na łapach
Gdyby mię tylko chciała;
W drugiej kochałem usta
Bo kryła się w nich rozpusta
Równo duszy jak ciała.

W trzeciej kochałem serce,
Więc czuję że w poniewierce
Skończy się sprawa cała.
Każda z nich była ładna
Ale mię żadna o! żadna
Naprawdę nie kochała.



OSIOŁ.

Sierpniowe górskie powietrze oszałamiało mózgi i sprawiało szybsze krwi krążenie. Słońce zachodząc złociło cudnie Czarny Staw nad Morskiem Okiem położony, a wiatr niosący skądcić smereczane wonie grzał się przy rozłożonem nad wodą ogniskiem i wsłuchiwał się w ludzkich radości śmiechy.

Tam weselili się młodzi ludzie beztroskiem młodości weselem, z tą małą domieszką żalu, że każda radość ma swój kres nieodzownie. Była to bowiem ostatnia w sezonie, pożegnalna wycieczka. Przeszedłszy przez Zawrat i Pięć Stawów Polskich, towarzystwo zmęczone grzało przemarzłe kończyny, wchłaniając chciwie w nozdrza zapach pieczonej wieczerzy.

Nikt nie zdawał się zważać na ubytek jednego współbiesiadnika, co przedkładając samotną kontemplację nad ognia ciepło rzetelne, legł opodal na jakimś skalnym zrębie i... usiłował gwizdać.

Zapraszany dwa razy słodkim głosikiem, aby siadł obok przy ogniu, Stach Wawrzyn z goryczą przepełniającą mu serce odmówił i niby to podziwiał zachód nad Czarnym Stawem.

Mimo to widział, a może czuł tylko skośne spojrzenia nieokreślonego koloru źrenic z pod długich, jasnych rzęs nań rzucanych. Wiedział również, i to z całą nieomylnością intuicji człowieka zakochanego, że źrenice te od czasu do czasu przestawały patrzeć wogóle, zasłaniane angielskim wąsem siedzącego obok cepra, czemu właścicielka ich poddawała się obojętnie, z jakąś niechętną biernością, nie widząc w tym akcie nic takiego, przeciw czemu aż protestowaćby warto. Za każdym takim postępkiem cepra, Stachowi w zmętniałych źrenicach zdawało się dwoić słońce i gór wierzchołki.

Wiadomo dlaczego gwiżdżą młodzi w takich razach.

Zresztą nie lubił tego towarzystwa. Żył z nimi w przyjaźni, a nienawidził ich z głębi duszy. Oni mu ją zabrali, zepsuli, skalali... Pamięta dzień, kiedy to uczucie poczęło w nim kiełkować. Było tak piękne, czyste, słoneczne, że dziwił się, iż to on, taki zwykły, szary człowiek potrafi kochać podobnie.

Mieszkali drzwi w drzwi na tem samem piętrze pewnej willi: stąd znajomość. Przedstawił jej swych towarzyszy, ona parę pań znajomych. Zrobiło się kółko. Obie strony były bardzo rade temu skojarzeniu. Dziękowano mu wielokrotnie: tak byliby się nudzili... Ale że każda rzecz, nietylko wdzięczność ludzka, z czasem się wyczerpie, więc dziś nie dbano oń więcej niż o ten śnieg w rozpadlinie skalnej leżący.

Ocknął się dopiero, gdy jedzenie było gotowe i zagajano je wódką. Przy zaimprowizowanym na prędce table d'hocie, wszczęto dyskusję na odwieczny a nigdy niewyczerpany temat: płci.

Młody, lecz uznany cynik Klonowicz bronił swej ulubionej teorji.

— Twierdzę, absolutnie — dowodził — że od pierwszych wzroku subtelnych zachwyceń, rąk przydługich uściśnień, aż do samego faktu oddania się kobiety mężczyźnie jest jeden krok, przyspieszenie lub powstrzymanie którego zależy tylko od okoliczności.

— Tak pan przypuszcza? — oponowała Warszawianka z czerwonym noskiem, wysuwając się dyskretnie z objęć szczupłego młodzieńca, który tej dyskusji zgoła rad być nie musiał.

— Oczywiście. Chyba, że w międzyczasie mężczyzna się rozmyśli.

— Naturalnie! Wszystko zależy od mężczyzny! Cudownieście się w swojej podłości urządzili. Odda się wam kobieta, to dlatego, że ona tego gwałtownie pragnęła i wyście łaskawie ulegli; odejdziecie z kwitkiem, to stąd, że nie mogliście sobie skrzydeł zawiązywać romansem. Ale gdybyście tylko chcieli, to ho, ho!

— Wszyscy jesteście pod tym względem jednacy. Dyskrecja — honor — przesądy. Jak tu jesteście na kupę, wszyscyście podli, podli i jeszcze raz podli!

— Z wyjątkiem może jednego Stacha — wzięła w obronę Wawrzyna inna przedstawicielka płci pokrzywdzonej. On jeszcze nie jest taki zepsuty.

— O tak, Staszek wśród nich, to perła. Prawdziwy dżentelmen. Z pewnością się jeszcze o żadnej kobiecie źle nie wyraził — potwierdziła dama z czerwonym noskiem.

Milcząca dotąd, pieszczotliwie Lalusią przezywana, właścicielka nieokreślonego koloru źrenic, całowanych przez cepra, oświadczyła, że tak lubi Stacha, iż chciałaby, aby był jej bratem... albo mężem, by go ciągle mieć przy sobie.

— Ja toż samo!

— I ja!

— I ja — dodały inne dwie niewiasty.

Mężczyźni uśmiechali się sceptycznie, a stary tych rzeczy konesser, malarz Wischel, jął zdumionemu temi oświadczynami ulubieńcowi kobiet składać kondolencje.

Był to nikły, wygasły człowieczek, o subtelnych ruchach i sardonicznym uśmieszku. Wawrzyn lubił go właśnie za ten uśmiech, kryjący — zda się — jakiś utajony smutek poza sobą.

— Będąc w twoim wieku — mówił malarz — miałem również to nieszczęście posiadać opinię Katona i przyjaźń wszystkich kobiet.

— ? ? ?

— Wierz mi, to bardziej mężczyźnie przeszkadza, niż zez, garb lub szkrofuły! Znając moją dyskrecję, obierały mnie sobie wszystkie za powiernika... A gdybyście wiedzieli, jak mężczyznę, na którego dyskrecji polegać można, kobieta zamęczyć potrafi

opowiadaniem wszystkich swoich przejść i zawodów miłosnych!... Każde swoje „faux pas“ z detailami odmaluje mu sto razy. Ale nie odda mu się nigdy! Zanadto go na to szanuje. Od tego są zresztą tamci „podli“, „szubrawcy“ i t. d.

— Kto więc z nas robi łajdaków? Kobiety!

— Świetnie gada — krzyknęło naraz kilka grubszych głosów.

— Posłuchajcie. Opowiem wam historję na ten temat. Gdy byłem jeszcze młody i płochy — ciągnął dalej — kochałem się w mężatce, która zdradzała swego męża. Była śliczna, tem śliczniejsza, że wiedziała o tem i nie udawała wcale skromnej. Spędzaliśmy długie godziny na rozmawianiu i literaturze i wyszukiwaniu ulubionych autorów. Ująłem ją podobno swojem ułożeniem. Jęła mi prawić komplimenty na temat moich zdolności, delikatności, skromności, subtelności i innych „ości“. Okazywała mi tak jawnie swoją sympatję, że myśl o porażce nie zagościła ani na chwilę. Czekałem tylko sposobności, która też nadarzyła się niebawem. Znaleźliśmy się sami na wycieczce. Była tego dnia dziwnie wzruszoną, uległą. Głos jej drżał jakoś dziwnie, a ramię coraz częściej i coraz ciężej wspierało się na mojem. Zaproponowała odpoczynek w napotkanej, opuszczonej watrze. Wszystko zdawało się tak niedwuznacznie do jednego zmierzać celu, że uważałem się za najszczęśliwszego człowieka pod słońcem. Już chciałem jej powiedzieć, że ją kocham, gdy ni stąd ni z owąd wzięła się do omawiania mi swojego ideału.

— Mnie — mówiła z niespodzianą egzaltacją — może się podobać tylko człowiek silny, zaborczy, o kruczych kędziorach. Mężczyzna powinien być panem. Zawsze pewny siebie. Raczej zarozumiały niż skromny, raczej brutalny niż zbyt subtelny. To jest mężczyzna. Nie jak mój mąż. Delikatny, przeczulony, nerwowy. To dobre dla pensjonarek. Rozumiesz pan?

W zapale zapomniała, że jestem mężczyzną i prawiła mi w oczy impertynencje, gdyż — jak państwo widzicie — jestem szczupły, blondyn i byłem ubóstwiany przez nią za skromność i delikatność. Zapewne nie chciała mi nawet zrobić przykrości, była tylko tak podrażnioną tem, iż puścił ją właśnie w trąbę taki wysoki, zarozumiały, kruczy, brutalny szubrawiec, że przy całej swojej kobiecej inteligencyi nie dostrzegła, jak bardzo mnie rani.

— No i co? i co? — pytał rozciekawiony Wawrzyn.

— Zrozumiałem nagle, jakie okropne byłbym popełnił głupstwo. Kobieta ta nie byłaby mi nigdy przebaczyła, iż nie domyśla się mojej miłości.

A szkoda, bo te postulaty co do wyglądu kochanka okazały się nie do niezwalczenia. Wkrótce miała niziutkiego blondyna. Ale tamten umiał widocznie sprawę tak jasno postawić, że zrozumiała go odrazu. Zapewne mniej rozmawiali o literaturze!

Stąd morał, że dwie tylko rzeczy depopularyzują mężczyznę gruntownie w oczach kobiety: subtelność i konsekwencja. W miłości tak jak na wojnie: wszystko polega na szybkiej decyzji i błyskawicznej zmianie frontu. Lepiej powziąć decyzję kiepską, niż nie powziąć żadnej, a kto przez delikatność, przy pierwszej nadarzonej sposobności nie posuwa się naprzód, ten już się cofa.

Słowa te jakąś tkliwą, radosną jasnością spływały w serce Wawrzyna. Były to jego własne, od dawna skrystalizowania potrzebujące myśli. On też zdawał się kiedyś być na jak najlepszej drodze. Pamięta, jak raz ją całował po rękach, coraz to wyżej, wyżej, w niebieską żyłkę na przegubie... Ale tegoż wieczora pocałował ją ktoś inny w usta i w nim jakby coś zamarło. Odprowadziwszy ją do domu, pożegnał chłodno. Próżno nazajutrz łamał się, mięknął, radby wszystko naprawić. Nie mógł już odnaleźć tych słów ciepłych, bezpośrednich... Mur wytworzony tem pierwszem straconem sam na sam rósł i oddzielał ich coraz bardziej. Jakaś okropna zmora nieubłaganej konsekwencji odbierała mu wszelką moc, wszelką odwagę. Z rozpaczą myślał, że oto dziś już ostatnia wycieczka, że wkrótce przyjdzie po nią mąż, czy ktoś, co się za niego podaje i on Stach Wawrzyn nie dowie się nigdy, jak smakują te usta, o których marząc, tyle bezsennych nocy spędził!

Głośny wybuch śmiechu wyrwał go z zadumy. Nadskakujący pięknej Lalusi cepr pozwolił sobie na tak ubliżający, niedwuznaczny żart, że młoda kobieta zerwała się jak oparzona. Obecni śmiali się niewspółczującym wulgarnym śmiechem. Nikt się za nią nie ujął, nikt nie przepraszał.

Patrząc na to Wawrzyn, porównywał siebie z tamtymi wszystkimi. Widział swoją bezgraniczną miłość dla niej, niemal

MNIEJSZE ZŁO.

Rys. M. Berezowskiej



Powiedz — z pań obydwu
Którejś bardziej rad,
Czy owej z szatami
Czy owej bez szat?

Zawsze w takich razach
Biorę mniejsze zło:
Wolę jedną w szatach
Niźli golych sto

uwielbienie, które sprawiało, że za jeden jej słodki uśmiech przebaczyłby jej wszystkich tych gachów, za jedno spojrzenie w piekło by skoczył!... Wiedział, że traci długi, piękny okres życia na marnem, bezowocnem, ćmem kręceniu się koło światła; że nie zdobędzie się nigdy na odwagę, dlatego, że nie zdobył się na nią pierwszego wieczora, a jak powiada Wischel, kto nie idzie naprzód, ten już się cofa.

Kochał ją, tak jak jej nigdy nikt nie kochał i nikt kochać nie będzie a przecież czuł, wiedział z jakąś matematyczną, nieomylną ścisłością, że każdy napotkany przez nią mężczyzna ma więcej szans od niego.

— Zanadto mnie szanuje — pomyślał z komiczną powagą, wtłaczając w pięść aż do krwi paznokcie.

Tymczasem obrażona kobieta poczęła zstępować wąską szczeliną ku Morskiemu Oku. Wiedzeni resztką ukrytej gdzieś podświadomości szarmanterji młodzi ludzie leniwie ruszyli za nią.

Po jasnym, słonecznym dniu zapadł cudny wieczór nad Morskiem Okiem. Księżyc wypływał na niebo, jak zabłąkany gondolier, odbijał się w zbrudzonym śniegu na Rysach i igrał ze zmarszczoną lekko falą jeziora.

Idąc nadbrzeżną ścieżką Laluś zwróciła się do Wawrzyna:

— Wracam furką do Zakopanego. Pojedzie pan ze mną? — pytała nie patrząc mu w oczy.

— Czemu ja? Idę pieszo.

— Boję się sama z góralem. Panie Staszku — dotknęła jego ramienia. — Tak ładnie proszę. To już ostatnia grzeczność, jaką mi pan może wyświadczyć. Jutro przyjeżdża mąż i zabiera mnie do Warszawy.

Nie mógł odmówić. Tajało mu coś w piersiach. Kiwnął tylko głową na znak zgody.

Zmianę decyzji, co do drogi powrotnej wytłumaczyła spodziewanym przyjazdem męża i czekającą ją nazajutrz jazdą.

Dowiedziawszy się, że Staszka wybrała, jako towarzysza nocnej podróży, przyjaciele poczęli mu gratulować; niektórzy nawet całkiem szczerze i poważnie. On jednak był tak oszołomiony, że niebardzo wiedział o co idzie. Nie wątpił wprawdzie, że przy tak wybitnie sprzyjającycych warunkach owo coś dzisiejszej nocy nastąpić musi, że dziś powie jej wszystko...

Ale poczuł nagle taki lęk przed nieodzownością tego wyznania, że byłby się chętnie skrył het, tam za te wysokie góry, aby jeno odroczyć termin tej przerażającej, najsłodszej godziny. Czuł strach, jakby przed egzaminem, do którego miesiące długie się przygotowywał i w rezultacie siadał nieprzygotowany.

Na furkę, którą mieli jechać, jako na przedmiot mający odegrać rolę w jego przeznaczeniu, patrzył z jakiemś roztargnionem skupieniem, jak oblubienica na łoże małżeńskie.

Był to zwykły wózek góralski z rozciągniętem na trzcinowych obręczach płótnem, chroniącem podróżnych od słońca, deszczu i oczu ciekawych. Pożegnano ich w połowie czule, w połowie szyderczo, życząc wesołej podróży.

Usiadłszy na zawieszonej w tyle wózka ceratowej ławce, młodzi jechali patrząc przez rozchylone w górze płótno na jasną księżycową pełnię i niebo zasiane gwiazdami. Milczeli, wsparci ramieniem na ramię.

Przez mózg jego przebiegały tysiączne koncepcje rozpoczęcia rozmowy. Gorączkował się: gubił je i odrzucał; budował nowe i bał się cokolwiek rzec, aby nienaturalnem drżeniem głosu nie zdradzić swego okropnego, dochodzącego do obłędu zdenerwowania. Denerwowało go to, że czas ucieka tak szybko, że każda chwila zmarnowana straconą jest bezpowrotnie... Wyrzucał sobie, że jest tchórz i idjota, że nie powinien był zgodzić się na tę podróż bo i tak nic z tego nie będzie.

— Niechże mnie pan jakoś bawi — odezwała się wreszcie ona. — Śliczny z pana towarzysz podróży. Poto to sobie pana wybrałam?

— Mówiłem, że należy wziąć kogoś godniejszego — odpalił Stach, w którego sercu zbudził się znowu tak długo tłumiony żal.

— Złośliwość? Powiedz pan lepiej co wesołego, abyśmy tak nie jechali, jak mumie czekające archeologa.

— Kiedy ja... widzi pani... jestem melancholikiem. Właściwie to nie to, nie melancholikiem tylko idjotą. Całe lato zmarnowałem...

Spojrzała nań przenikliwie.

— Tak, to trzeba było pojechać lepiej do Szwajcarji, na studja — bredził pod wpływem jej wzroku.

— Wie pani, Wischel ma racyę -- mówił dalej spiesznie.

W miłości to tak, jak na wojnie. — Wszystko zależy od szybkiej decyzji. Lepiej powziąć decyzję kiepską, niż nie powziąć jej wcale.

— Przecież między nami niema wojny — zadrwiła oczywiście.

— Ale jest...

„Miłość" chciał dodać, ale strach kosmatą ręką chwycił go za gardło.

— Ale jest chłodno uważa pani? — obrócił to w żart.

— Chłodno? Może pan ma gorączkę?

— Nie, cóż znowu? A pani?

— Co? Czy ja mam gorączkę? Nie, wie pan to wyśmienite pytanie. Ale coś panu zaproponuję. Tak całą noc jechać nie sposób. Może zdejmiemy siedzenie i położymy się na sianie? Będzie się można przespać trochę.

Stach zdumiał się, że ani o tem pomyślał. — Projekt ten w czyn wprowadzono niezwłocznie. Na dnie furki była cała masa pachnącego, świeżo skoszonego siana. Ona zdjęła mały, aksamitny toczek i dała folgę złocistej fali kędziorów. Była teraz tak śliczna, że chłopcu bliskość jej oddech wstrzymywała. Czuł najwyższą rozkosz w patrzeniu na nią i znowu zrozumiał, że minuty uciekają niepowstrzymanie, że noc upłynie i on się nie odważy na dotknięcie tego czarownego cacka. Wiedział, że to są już ostatnie godziny ich znajomości, że potem pewnie nie spotka jej już nigdy i boleść ta odbierała mu resztę inicjatywy.

Uścieliwszy to zaimprowizowane łóżko, położył pod głowę swój sweater, płaszczyk jej zaś służył za kołdrę. Przykryli się i utulili, ległszy twarzą przy twarzy.

— Całuj gamoniu! — zdawała się krzyczeć sytuacja.

Miękkie, pachące jej włosy łaskotały go po brodzie, właziły w usta i oczy. Chcąc je odgarnąć dotknął swojej twarzy. Poczuł, że jest nieogolona, podpuchła od słońca i wiatru górskiego, do którego nie był przyzwyczajony. Pojął całą swoją brzydotę i chciałby się był gdzieś zapaść, zczeznąć z przed tych cudownych, ukochanych oczu, patrzących nań z taką niepojętą łaskawością.

— Źle mi — poskarżyła się pieszczotliwie, na pół już śpiąca.

Wązkość furki nie pozwalała na rozprostowanie ramion. Głosem całkiem naturalnym zaproponowała mu wsunięcie swojej rączki pod jego ramię. Zgodził się skwapliwie i sam uczynił to samo tak, że ujęli się jakby w objęcia.

— Jeżeli się teraz nie zdecyduję, w łeb sobie palnę — pomyślał z nagłem postanowieniem i uspokoił się natychmiast.

Leżeli cichutko, mając usta tak blisko przy ustach, że czuli zapach swoich oddechów. Byli tak przytuleni, że musiała chyba słyszeć gwałtowne uderzenia jego serca, które waliło, jakby mu się chciało wyrwać z piersi. Miał ją w objęciach, wyczuwał rękoma rozkoszne ciepło jej, nieodzianej w gorset kibici; słyszał przyspieszone pulsowanie krwi, płonął, szalał — i leżał cichutko, wstrzymując gorący oddech i bojąc się poruszyć, zdjęty jakimś niepojętym, niesamowitym lękiem.

— Nie, nie, po tysiąckroć nie! Nie skorzysta ze sposobności teraz, kiedy nic nie przeczuwając zaufała mu i zdana jest niemal na jego łaskę i niełaskę. Nie chce, iżby myślała, że zrobił to wiedziony zwykłym samczym instynktem, korzystając z przypadku. Nie uwierzy mu przecie, że kochał ją tak dawno i milczał, lecz pomyśli, że tak jak każdy...

Bezwładna, obsunęła mu się jeszcze więcej w ramiona. Słyszał jej miarowy, spokojny oddech i widział nic nie przeczuwającą twarzyczkę... Spała! Usnęła, zanim zdążył się zdecydować na wyznanie. Przecież nie zbudzi jej brutalnością swojej żądzy.

Rytmiczne chybotanie furki zsuwało ich coraz bliżej ku sobie. Byli złączeni uściskiem. Zamknął również powieki i niby przez sen, tulił się do niej namiętnie. Wchłaniał ją w siebie, wtłaczał, czyniąc to wszystko z wyrafinowaną, złodziejską powolnością, z zachowaniem wszystkich środków bezpieczeństwa.

Oszalały pożądaniem, ściskał ją coraz to mocniej. Gniótł w tak namiętnym uścisku, iż musiała być bardzo zmęczona, nie poczuwszy tego.

Po godzinie takiej przesłodkiej, męczącej podróży, dreszcze jęły przelatywać po twarzy chłopca. W pewnym momencie zbladł okropnie; nagłym ruchem wyrwał się z jej objęć i przewróciwszy się na drugi bok, zachrapał z miejsca.

Obudziła go, gdy dojeżdżali do Jaszczurówki. Dniało i trzeba

się było ogarnąć. Podnieśli ławkę i usiedli. Był tak zmęczony, że musiała go podtrzymywać, aby z wózka nie wypadł. Czuł, że jest brudny, ma podpuchnięte oczy, a w sterczących we wszystkich kierunkach włosach źdźbła i mierzwy. Miał wstręt do siebie i do wszystkiego, co go otaczało.

Dojechawszy w milczeniu do domu, rozstali się, umawiając się spotkać przy śniadaniu. Przyszedł obojętnie. Było mu wszystko jedno... Nie miał nic do stracenia. Skończone.

Przedstawiła go mężowi. Musaiła mu przedtem coś o nim mówić, gdyż Stachowi zdawało się, że dostrzega w oczach tego zahukanego jegomościa błyski ironii. Może powiedziała mu, że się w niej kochał i dostał kosza, a mąż cieszył się, przypuszczając, że jest to jedyny jej grzeszek tego sezonu.

Odjeżdżali wprost do Warszawy. Rzeczy miała już spakowane i wstąpiono tylko po nie, w drodze na dworzec.

Stach patrzył na to wszystko wzrokiem osłupiałym, jakby patrzył na swój własny pogrzeb. Czy też nie popełnił największego w świecie głupstwa? Czy nie przeszedł biernie obok swego szczęścia?

Stała w oknie wagonu, podając mu na pożegnanie rączkę w gładziutkiej, białej rękawiczce.

— Mąż poszedł przypilnować rzeczy. Widzi pan, jak dobrze zrobiłam, jadąc furką. Idąc pieszo, nie byłabym zdążyła zebrać się do pociągu.

Milczał.

— A to swoją drogą tylko panu zawdzięczam. Gdyby pan nie był zechciał mi towarzyszyć, musiałabym zostać z nimi.

— Widzi pani, com ja wart za to! — powiedział, aby coś powiedzieć, nie dlatego, by liczył na odpowiedź.

— O tak! Wart pan. Dużo. Dużo siana. Tego samego, na którym tak smacznie chrapałeś pan dzisiejszej nocy. Gdyby nie było już zapóźno, odkupiłabym je chętnie dla pana, od tego górala.

Śmiała się histerycznie.

— Siana? Chyba na pamiątkę? — zapytał niepewnym głosem, nic nie pojmując.

— Ależ nie! Nie na pamiątkę. Do jedzenia. Osły to prze-

W SALONIE

Rys. M. Berezowskiej.



Tak długo flirt już bezpłodny trwa
A w zgodny nigdy nie wpadną strój
Mężczyzna tylko zna słowo „ja“
Kobieta tylko zna słowo „mój“.

cież bardzo lubią. Żałuję mocno, że już zapóźno na uskutecznienie tego, ha, ha!

W tej chwili mąż z walizami wskoczył do wagonu. Pociąg gwizdnął i potoczył się zwolna.

Stach stał ogłuszony.

— Więc to być mogło!

— Osioł, osioł! Wierutny osioł! — powtarzał nie mogąc wyprowadzić żadnego konkretnego wniosku, żadnej myśli domyśleć do końca.

Bezwolnie wlókł się do domu, gdzie każda rzecz miała mu ją i utracone szczęście przypominać.

Przechodząc ulicą Marszałkowską posłyszał' że go ktoś wołał po imieniu. Wracająca pieszo część towarzystwa siedziała u Przana przy obiedzie. Powitali go jak tryumfatora: grzmiąco radośnie.

— Staszek! — wołał Klonowicz — idziemy dziś na borówki pod regle. Idziesz?

— Poszaleliście? Kości w sobie nie czuję. Chybabym zwarjował!

Cała weranda zatrzęsła się od gromu ich wesołości.

— Takeś się zmęczył? No, no — mówiła dama z czerwonym noskiem. — Prawda, że z czasem jazda może bardziej człowieka wyczerpać niż droga piesza?

Stach uśmiechnął się znacząco, a duszę przepełniło mu błogie uczucie zemsty.

— Tak... Czasami... — wycedził zwolna.

Było to pierwsze szubrawstwo, jakie w życiu popełnił.

Jan Gella.



Nawrócone.

(Zimowe popołudnie na Nowym Świecie w Warszawie).

LENA *(zastępując Halszce drogę)*. Halszka! Nie poznajesz mnie?

HALSZKA (*z radością*). Helenka! Naprawdę Helenka! Tyle lat. Nigdybym cię odrazu nie poznała. Taka dama! Foki, szenszyle, brylanty... Tyle czasu... Poczekaj, ile to lat temu?

LENA. Już jedenaście — pomyśl jedenaście lat minęło od naszych granatowych mundurków, wiecznie wyplamionych fartuchów i tych — pamiętasz, tych potajemnych, zazdrośnie w głębi dziecięcego serca chowanych miłości do prefekta, lub tego, jak się on nazywa, tego brudasa poety nauczyciela literatury.

HALSZKA: (*zamyślając się*). Tak... Dziwne, żeśmy się nigdy dotąd nie spotkały... Ja jednak dużo słyszałam o tobie.

LENA: Wyobrażam sobie... Może jednak by się nagadać wstąpimy do Loursa.

HALSZKA: Czy to wypada? Bo wiesz rodzina męża...

LENA: Ach więc masz już swego pana, władcę surowego lub... lub może powolnego pantofla. Ty z twoją urodą mogłaś zawojować jakiegoś udzielnego księcia.

HALSZKA: A tymczasem wyobraź sobie, zawojowałam sobie najprzeciętniejszego referenta z Ministerjum Zdrowia, najmniej własnego, bo pokaszluje biedaczysko już od jesieni.

LENA; Oto i Lours, cóż wchodzimy?

HALSZKA: *(wahając się)*. Wolałabym gdzie indziej... no ale chodźmy.

LENA: O tu za filarem nikt cię nie zobaczy.

HALSZKA: Któż to jest?

LENA: Ten co mi się kłaniał?

HALSZKA: *(potakuje głową).*

LENA: *(z lekkiem ust skrzywieniem).* Ach to aktor z naszej komedji.

HALSZKA: Przystojny.

LENA: Znudził mi się już, jak to mówią, dokładnie *(po chwili).* No, ale mówmy tylko o nas, przecież to jedenaście lat dwuch najserdeczniejszych koleżanek i przyjaciółek ma jakąś ciekawą treść, coś z filmu.

HALSZKA: Niestety!

LENA: Czyżby nasza piękna Halszka zginęła bezpowrotnie dla świata, jako przykładna kapłanka domowego ogniska, przy którem nic się nie dzieje, prócz tego że się od czasu do czasu dymi.

HALSZKA: Wyobraź sobie, że tak. Po skończeniu pensji jako wyzwolona osoba, czyli t. zw. panna na wydaniu poznałam w Milanowku obecnego mego męża. Dwa miesiące narzeczeństwa, ślub, miodowe miesiące, potem... potem maleńka rozkoszna pociecha i...

LENA: ... i figura geometryczna zamknięta.

HALSZKA: No i wszystko, przyznasz że życie nie jak z tysiąca i jednej nocy, ale z szeregu tysięcy podobnych. Mówmy raczej o twojem,

LENA: *(śmiejąc się).* Ach wiem, chcesz spojrzeć ze szczytu twej cnoty na padoły mego upadku.

HALSZKA: Upadku?!

LENA: Tak, upadku! Bo cóż o mnie mogą powiedzieć, a ponieważ, jak sama mówiłaś, wiele o mnie słyszałaś, więc pojęcie twoje o mnie nie musi być zgoła najlepsze...

HALTZKA: Mylisz się, zawsze cię bardzo lubię.

LENA: Jesteś nie szczera. Cóż jedenaście lat! *(po chwili)* Ale przystąpmy do tego, co mnie najbardziej interesuje. Czyś ty miała kiedy kochanka?

HALSZKA: Ależ co znowu.

LENA: Współczuję ci! Nie należałaś zatem nigdy do człowieka, którego nie znasz ani nazwiska, ani stanowiska, ani stanu

ZWIERZENIA Rys. M. Berezowskiej.



W klubie — przy wonnej kawy filiżankach,
Gdy gentelmeni wreszcie są przy wenie,
Mówią o **k***artach,* **k***oniach*
i **k***ochankach*
Z trzech **k** *ostatnie jest*
w najmniejszej cenie.

cywilnego nic prócz jego urocznego spojrzenia, głosu pieściwego rąk zaklinających ciało w jakieś cudowne trwanie...

HALSZKA: *(nieszczerze).* Tak nazbyt mnię to nie nęci.

LENA: Widzisz Halszko, jak różne są nasze życia. Moje pieni się, rozbrzmiewa śmiechem, spala się w coraz to nowych ogniach, wre, kipi.

HALSZKA: I nie masz po tem wszystkiem niesmaku?

LENA: Na niesmak mam lekarstwo — zmianę kochanka.

HALSZKA: I cóż oni ci dają?

LENA: (*wybuchając śmiechem*) Ha, ha, ha. Co dają? Ależ moja droga wszystko co mają najlepszego. Jeden inteligencję przy brzydocie, drugi urodę przy głupocie, inny swe doświadczenie zaświadczone maleńką łysiną, inny znów swe bujne miękkie włosy, któremi się bawię, wyszarpując je, gdy jestem trochę tego... trochę w dobrym humorze.

HALSZKA: Ale co każdy z nich gotów sobie o tobie pomyśleć.

LENA: Gdy jest ze mną nie ma czasu myśleć, gdy sam — również nie, bo tęskni, lub myśli, czem by mógł zrobić mi jakąś przyjemność.

HALSZKA: Więc tak z rąk do rąk?

LENA: Jak ty to brzydko nazywasz! Nie z rąk do rąk — nie! Chciałaś powiedzieć z życia w życie, od rozkosznych przeczuć do spełnień pełnych czar, do chwilowego wyczerpania się, by znów...

HALSZKA: A teraz powiedz mi szczerze, czy nie zatęsknisz czasem za czemś innem?

LENA: Czy nie zatęsknisz?!

HALSZKA: Za cichą pieszczotą kochanego człowieka, chociażby... męża...

LENA: Za jego wymówkami, a może jeszcze sceną zazdrości — o nie — merçi!

HALSZKA: A za dzieckiem, za twojem własnem dzieckiem, które czujesz bardziej niż twoje życie, gdy cię drobniutkiemi rączkami za szyję obejmie i przytuli tłuściutką buźkę do twojej twarzy.

LENA: A ty, czy w wieczorne samotne godziny nie marzysz o innem życiu, czy nie zamieniasz deputatu urzędniczego

w uwożący cię gdzieś w cudne kraje — okręt, na którym płyniecie ty i Boże uchowaj referent, lecz jakiś sławny artysta, śpiewak twojej urody...

Marzysz prawda? Któraż z nas nie marzy, nieliczne jednak realizują swoje marzenia.

Któraż z nas nie ulegnie człowiekowi, który potrafi opowiedzieć nam całe nasze piękno, wziąć je tak by go nie złamać, wypaczyć lecz podnieść *(po chwili)*. A jeśli jeden nie zdoła, trzeba ich mieć więcej — tylu czasem, ilu potrzeba na doskonałą z mnogości wszelakiej jedność. *(po chwili)*. Kocham wszystkich swoich kochanków.

HALSZKA: A ileż ich masz?

LENA: Nie wiem. Tylu ich jest, ile bywa potrzeb chwil... Czasem tylko jeden, czasem wszyscy... Czy ja wiem?

HALSZKA: Mówisz mi straszne rzeczy.

LENA: *(żartobliwie)*. Dusza kapłanki domowego ogniska się wzdryga.

HALSZKA: Bierzesz życie z dziwnej strony. Nie nęci cię ten błogosławiony spokój życia, ten zaciszny byt domowy i wszystko dokoła własne, drogie, kochane. Zobaczysz Leno, że ci się to znudzi.

LENA: Może, nie prędko jednak.

HALSZKA: Zobaczysz!

LENA: Raczej zobaczymy chcesz powiedzieć.

HALSZKA: Widzisz, ja mam zasady.

LENA: Zasady! ha ha ha.

Tak Halszko, życie jest piękne, gdy się niem zawładnie.

HALSZKA: A opinja?

LENA: Ach opinja! Zabezpiecza od wszelkich przyjemności i rozkoszy, nie zapewniając ani zdrowia, ani długiego życia.

HALSZKA: *(przez zamyślenie, jakby do siebie)* Tak...

LENA: A czy można zobaczyć twóją pociechę?

HALSZKA: Ależ ma się rozumieć, zawsze.

LENA: Widziałaś już siódma... Od szóstej czekają na mnie z obiadem.

HALSZKA: Siódma, co ty mówisz... Mały się zbudzi. *(Żegna się pospiesznie i wychodzi)*.

CZĘŚĆ II.

Noc. Przy małem z różanego drzewa biureczku siedzi w jedwabnej męskiej pyjamie Lena i pisze:

10—I. Spotkałam Halszkę z którą byłam u Loursa. Doprawdy nie spodziewałam się, że spotkanie z nią spowoduje taką zmianę we mnie. Od dziś dosyć mam już tych nudnych kolacji z szampanem, dowcipów Lola, pretensji Stasia, sentymentu Gigi i zazdrości ich wszystkich. Dosyć już tego puszcz... Chcę mieć męża i własne moje dziecko, moje maleństwo z tłuściutką kochaną buźką przy mojej twarzy... Od jutra!

W niewielkim skromnie urządzonym gabinecie referenta Ministerjum Zdrowia siedzi przy biurku Halszka i pisze:

10. stycznia godz. 2-a w nocy. — Dziś mój dzień, a raczej noc przełomowa. Rozmowa z Leną, której nie widziałam jedenaście lat, pokazała mi drogę wyjścia z kręgu nudy, wyglądań 13-ych pensji, deputatów, kart węglowych i t. p. rozkoszy. Lena nie jest wcale taką, jak ludzie myślą i o niej mówią... Jest elegancką, ale brzydszą ode mnie. Mam już tego wszystkiego dosyć. Młodość nie wraca. Za późno po śmierci wędrować. Henio jedzie do Wilna, a ja się pu...... Chcę i muszę!.... Należeć do człowieka, którego nie znam ani nazwiska, ani stanowiska, ani stanu cywilnego, tylko czar uroczny jego spojrzenia... Ach;.. *(przeciąga się i rozkosznie zamyśla)*.

J. Ż.



GRA

Rys. M. Berezowskiej.



Grasz — lica płoną — zmarszczki na twej skroni —
W oczach twych czytam zły wyraz chciwości —
Raz jeden w życiu, gdy masz karty w dłoni
Ty zapominasz o swojej piękności.

Pierwsze wykolejenie.

(z życia ludzi epoki dyluwjalnej).

— Furkod, hohoho!
— Furkod, nosoroga!
— Nie!
— He?
— Furkod mamuta — buch!
— Oh! uh!

Mówili a raczej rzucali wycia zachwytu mężowie krzepcy w barach, obrośnięci kudłami, o wystających szczękach. Ślepki jeno świeciły się im pod kalenicami niskich czół.

I wywijali rękami omszałemi, by pnie sosen, zbrojnemi w pały, krzemieniami nabite.

Wkoło szumiały trawy, trawy bezkresne.

Było to dawno, bardzo dawno temu.

Kilkanaście tysięcy razy odtąd sczezała zima przed wiosną.

Człowiek jedno miał bogactwo: krzemienia kawał, jedyną pracę: łowy na potwory.

Jeszcze jedno miał bogactwo.

— Raba?

— Niam! niam! niam, niam!

Szczęki poczęły drgać i ozory mlaskać łowców na wspomnienie to. Oczy mrużyła chuć, co aż ćmę rzuca i pręży krzepkie żyły.

Jeden krzemienną dzidę rzucił precz i na złość innym pokazywać począł codziennie Furkoda, najszczęśliwszego, najpotężniejszego z mamutobójców uciechę.

Ukląkł na czworaki niby zwierzęta, podniósł pośladcze mięśnie, rozchylił nogi i w garść ująwszy, co nadmiarem wychynęło się z kudłów, którychby mu i niedźwiedź — kosmacz pozazdrościł, począł udawać Rabę, radość i bogactwo Furkoda. Jako Raba podsuwał czeluść, w którą na odpocznienie, po urozmaicenie, po zapomnienie wgłębia łowca maczugę bez krzemienia — a przecie iskry w oczach lecą...

Na czworakach budził oskomę obu braci.

Wtedy to człek w miłości posłuszny przyrodzie, nie wywyższał się nad inne stworzenia Słońca.

— — — — — — — — — — — — — — —

Pewnego wieczoru później niż przywykł wracał Furkod do swej sadyby.

Stękał i sapał.

Wlókł zdobycz. Jako codzień.

Raba stała u wnęku pieczary nad watrą i nie patrzała na łowcę.

Zwykły łup... jeleń... niedźwiadek...

— Uf — Uf!

— He?

Obróciła się — dziwy, dziwy!

Furkod wlókł nosoroga. Potwór potworów a tak go wlókł — za róg.

Rabę zdjął strach przed potworem. Nuże ożyje?

I lęk przeleciał i podziwienie dla mocarza — władacza i ślinka płynęła do jadła nieznanego.

I serce zabiło i mdłość brała.

Padła przed włodarzem swym, na plecy, rozkładając ręce i nogi, słysząc radosny okrzyk Furkoda:

— Alalala!

Zamamrotała.

— Oj! Uj!

Święto — widział kto by nosoroga wlec?

Szczęśliwy łowca wiedział, że jakoś nigdy nikt nie cieszy się niewiastą leżącą, że nikt w chwili szczęścia nie ogląda oczu jej.

Ale właśnie po takim pogromie chciał czegoś nowego

zażyć, czegoś niepowszedniego, a tak wyszukanego — jak powalenie nosoroga.

Skomlał, bo go ciągoty już dławiły.

— Hop! Hop!

Raba chciała, jako przystoi, wstać i uklęknąć, ale było zapóżno.

Na twarzy poczuła twarz Furkoda, o piersi jej jako dynie tarły się piersi wołochate łowcy, żywotami przywarli do siebie,

I choć nie klękła pokornie, poczuła, że dzidą miłości myśliwiec przebija ją tak samo. Albo i lepiej.

A gdy na ognisko żądz chlusnął Furkod rosę ukojenia, nie zmienili dziwnego splotu kochania, w którym niewiasta to niebo, to męża ogląda... Nowe fale żądzy wspięły się w dwojgu ludzi.

Raba czuła, że z nią dzieje się coś, co aż za gardło ima: tak rozkosznie wewnętrzem ud obłapiać kłęby kościste człowieka i ręce zapleść mu za kark można, ten kark godny tura.

Dziwno tak: wszystko inaczej, a przerozkosznie.

A Furkod?

Im zmagania się jego z kochaniem były większe, im gwałtowniejsze ruchy, tem bardziej zbliżał się do wielkich, szerokich, czerwonych warg Raby, nęcących niby najwonniejsze mięso.

Kąsać począł usta — gryść i nawet jęknąć nie mógł z rozkoszy. — Rabę też omotał zachwyt, mruczała jeno.

— — — — —

Tak powstało pierwsze zboczenie na świecie.

Marjusz Nowina.

Muzyckie narzędzie.

Język twój, ma kochanko, muzyckie narzędzie,
w którem się rozszalały dźwięków dzikie stada;
jest w nim upał pieszczoty, miłosne orędzie
i omdlałość współsenną, co ciałem owłada.

Zna me ciało te spiekłe a słodkie dotknięcia,
zna ich szepty, wołania, zdradzieckie napaście.
Dziwne są w twym języku, przedziwne zaklęcia.
Otwierają mi one pragnień mych przepaście.

Kocha się w mej nagości i w królewskim grzechu
spływa cicho wzdłuż ciała w namiętnym oplocie,
wita miękkość przegubów w radosnym uśmiechu,
by znów skonać na ustach w miłosnej spiekocie.

Czasem, gdy głowa cudna schyla się nad biodra,
ciało stygnie i czeka... Czas płynie bez końca...
Usta drżą, w krew bogate.... Cisza czekań szczodra
rzuca w ciała rozrzutność gorejące słońca.

Wówczas zda się, że język skonał pośród pieszczot.
że już usnął znużony.,. On kłamie milczenie,
bowiem grąży się w ciało, jak płomienny brzeszczot,
nagle i niespodzianie sycąc ciała drżenie.

Oczy w blaskach rozdarte, krwi smugą ociekłe,
widząc swój szał, pędzący na oślep — zajadle,
W krzyku i w opętaniu gnają dreszcze wściekłe: —
Bóg je kuł obłąkany na swych żądz kowadle.

Józef Fryderyk Gawlikowski.



Coś niecoś o miłości.

Miłość, która nie ma w sobie choćby najmniejszej przymieszki łajdactwa, podobna jest do potrawy, pozbawionej wszelkich przypraw.

* * *

Pewna dama zapytana, dlaczego z pośród innych mężczyzn wyróżnia przedewszystkiem bohaterów, odpowiedziała:

— Albowiem bohaterowie są zawsze i wszędzie jednakowo niestrudzeni...

* * *

Cnota nie jest niczem innem, jeno maleńkę zaporą, którą byle dureń otworzyć potrafi.

* * *

Zasadnicza różnica między tak zwaną kobietą uczciwą a tak zwaną kokotą polega na tem, że o ile pierwsza pragnie, aby jej mąż lub kochanek postępował z nią w sypialni, tak jak z kokotą — druga żąda, by właśnie tam traktowano ją, jak uczciwą kobietę...

* * *

Pytano pewnego mężczyznę, dlaczego porzucił żonę piękną, rozumną i szlachetną dla kobiety mniej ładnej, głupiej i złej. Ów zaś odpowiedział:

— Albowiem posiada ona jedną zaletę, wobec której wszystkie zalety mojej żony nie wytrzymują żadnego porównania.

— Cóż to takiego?

— Jest inna

* * *

Kobieta po nad lat trzydzieści nie pozwala zalotnikowi rozpinać tych guzików i zatrzasków, które się łatwo rozpinają. Z trudniejszymi sama się załatwia...

* * *

Małżeństwo jest jak dobre, smaczne i zdrowe obiady „obywatelskie". Należy je stale jadać! Trzeba jednak od czasu do czasu wstąpić na przekąskę do baru, choćby się miało dostać niestrawności.



Spis rzeczy.